NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 doł. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) **Telefon Nr. 479.**

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VIII. Kraków, 24 czerwca 1911. Nr. 25.

Krwawy epizod wyborczy.

(Treść na str. 2).



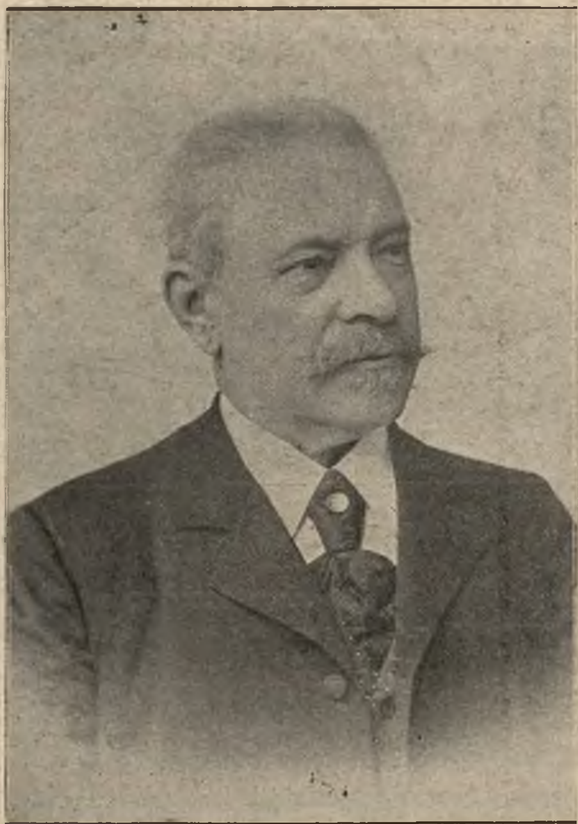
WYBORY WE WSCHODNIEJ GALICYI.

Szereg sensacyjnych zdjęć z walki wyborczej.

Krwawy epizod wyborczy.

(Do illustracyi tytułowej).

Kraj cały znajduje się obecnie pod znakiem wyborów do parlamentu. Miasta mają już swoich posłów, z wyjątkiem paru okręgów, gdzie odbyć się



Pół wieku na posterunku: Dyrektor krakowskiego seminaryum naucz.-żeńskiego, radca Roman Vimpeller. (Do artykułu na str. 10).

mają wybory ściślejsze, natomiast w okręgach wyborczych wiejskich długo jeszcze wrzeć będzie walka o mandaty, ponieważ wielka ilość kandydatów zarówno w zachodniej jak we wschodniej Galicyi spowodowała wszędzie prawie rozbicie głosów, a w konsekwencyi potrzebę ponownych wyborów, a ewentualnie i ściślejszych.

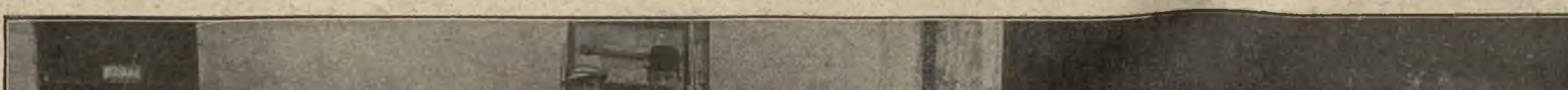
A niestety wybory tegoroczne nie obeszły się znowu bez rozlewu krwi. Nadeszły właśnie przerażające wiadomości o krwawych zaburzeniach w Drohobyczu, gdzie wojsko musiało zrobić użytek z broni, w następstwie czego kilkanaście osób padło trupem, a kilkadziesiąt odniosło rany.



Jubileusz naczelnika filii Banku krajowego: Naczelnik Jan Armółowicz w swem biurze.

W zachodniej Galicyi — na szczęście — przeszły wybory zupełnie spokojnie, jedynie w okręgu wiejskim Tarnów-Radłów-Zakliczyn-Tuchów-Wojnicz wydarzył się smutny wypadek morderstwa na tle walki wyborczej.

W okręgu tym — jak wiadomo — najpoważniejszymi kandydatami byli ludowiec Witos i naczelnik sądu w Tuchowie, konserwatysta Matakiewicz. Oni też obaj wybrani zostali już w pierwszem głosowaniu. Zanim atoli wynik wyborów dostał się do



Strajk w lwowskiej Akademii weterynaryi: Grono strajkujących słuchaczów. (Fot. M. Münz, Lwów).

wiadomości ogółu, wywiązała się między zwolennikiem kandydatury Witosa, włościaninem Wojasem, a agitatorami p. Matakiewicza, Dulianem i Seremetą, namiętna sprzeczka. Nastąpiło to wieczorem, gdy Wojas powracał swoją furą do Radłowa, w towarzystwie obu wspomnianych agitatorów, którzy się do niego przysiedli.

Sprzeczka stawała się coraz gwałtowniejsza, a że Dulian i Seremeta byli podchmieleni, przeto dyskusya zamieniła się wnet w bójkę, podczas której obaj agitatorowie rzucili się na Wojasa i zamordowali go w bestyalski sposób, rozbijając mu czaszkę.



Wybory we Lwowie: Minister dr. Stanisław Głąbiński, poseł okręgu IV.



Wybory we Lwowie: Kordon kawaleryi u wylotu ul. Trzeciego Maja.

Jubileusz naczelnika filii Banku krajowego.

Krakowska filia Banku krajowego, istniejąca już łat 17 i rozwijająca tu bardzo żywą i bardzo skuteczną działalność finansową, święciła w ubiegłym tygodniu uroczyście jubileusz 25-letniej działalności w tej instytucyi swego naczelnika, Jana Armółowicza.

Naczelnik Armółowicz, pochodzący ze znanej obywatelskiej rodziny krakowskiej, ukończył tu szkołę średnią, poczem kształcił się w Akademii handlowej w Wiedniu. Po krótkim pobycie w filii Banku hipotecznego i w Banku galicyjskim dla handlu i przemysłu, wstąpił do centrali Banku krajowego we Lwowie, skąd po otwarciu filii krakowskiej przeniesiono go do Krakowa. Pracował tu naprzód jako urzędnik, a następnie przez szereg lat jako prokurzysta i zastępca naczelnika, w zeszłym roku zaś, gdy naczelnik Karłowski powołany został na dyrektora Banku przemysłowego we Lwowie, zajął jego stanowisko. Urzędnik bardzo tęgi, zdolny finansista, zdobył sobie p. Armółowicz w całym Krakowie ogólne uznanie i sympatyę, zwłaszcza że czynny jest nietylko na polu zawodowem, ale bierze żywy udział w życiu publicznem i towarzyskiem. Wielka uprzejmość i uczynność naczelnika Armółowicza zaskar-



Jubileusz naczelnika filii Banku krajowego: Uczestnicy uroczystości jubileuszowej, z jubilatem (X) w pośrodku; 1. Prezes filialnej rady nadzorczej K. hr. Scipio; 2. zastępca naczelnika i prokurzysta filii J. Kretschmer; 3. syndyk filii Banku dr. Kl. Bąkowski; 4. naczelnik ekspozytury Banku w Białej Brodacki; 5. dyrektor Spółki fakturowej, założonej przez filię Banku krajowego Kaczorowski.

biła mu też ogólną sympatyę w kołach interesentów. Także w gronie podwładnych cieszy się p. Armółowicz niezwykłym mirem, to też wszyscy urzędnicy filii skorzystali z okazyi jubileuszu przełożonego, by dać wyraz swym uczuciom. W dniu rocznicy zgromadzili się wszyscy w biurze udekorowanem kwiatami, a zastępca naczelnika filii, p. Józef Kretschmer, złożył Jubilatowi imieniem zebranych serdeczne życzenia. Przemawiał także imieniem filialnej rady nadzorczej jej prezes hr. Karol Scipio,



Wybory we Lwowie: Wyborcy przed barakiem w ul. św. Teresy, mieszczącym jeden z lokalów wyborczych okręgu II.

wyrażając zasłużonemi naczelnikowi gorące uznanie za jego pracowitą działalność.

Skromna ta a jednak bardzo serdeczna uroczystość pozostawiła u wszystkich uczestników jak najsympatyczniejsze wrażenie.

Strajk w lwowskiej Akademii weterynaryi.

Po strajkach młodzieży na politechnice i uniwersytecie lwowskim, przyszła obecnie kolej na lwowską Akademię weterynaryi. W ubiegłym tygodniu słuchacze tego zakładu urządzili trzydniowy strajk manifestacyjny, celem poparcia swych słusznych zresztą żądań w sprawie koniecznych reform i adaptacyi w zakładzie.



Wybory we Lwowie: Ernest Breiter, poseł okręgu II.

Memoryał młodzieży strajkującej, ogłoszony przez nią w dziennikach, przedstawia wymownie rozpaczliwe stosunki, panujące w tej Akademii i wykazuje, że warunki, w jakich są zmuszeni pracować i profesorowie i słuchacze urągają w najwyższym stopniu najelementarniejszym wymogom hygieny i dydaktyki.

Już sam zewnętrzny wygląd zakładu sprawia wrażenie wprost przygnębiające. Trudno uwierzyć, że tam się mieści placówka nauki, że tam kształcić się muszą siły, tak bardzo do ekonomicznego rozwoju kraju potrzebne. Wewnątrz także ruina. Sale wykładowe małe, ciemne i duszne, nie mogą pomieścić zapisanych słuchaczów, drogocenne preparaty anatomiczne niszczeją z powodu braku odpowiednich muzeów, kliniki grożą zawaleniem, sale operacyjne bez oświetlenia górnego i bez odpowiednich a koniecznych urządzeń. To też dziwić się należy, że mimo tych niesłychanych braków Akademia weterynaryi we Lwowie potrafiła poszczycić się tak pięknymi rezultatami, że potrafiła ściągać w swe brudne mury liczną młodzież z dalekich nawet stron monarchii i zagranicy.

Wobec tego zaś, że wszelkie dotychczasowe usiłowania i dążenia młodzieży i grona nauczycielskiego celem uzyskania od rządu funduszów na reformę tych fatalnych stosunków, były bezskuteczne, przystąpili słuchacze do ponownej akcyi i domagają się spełnienia swych postulatów.

Zaznaczyć należy, że grono profesorskie popiera żądania słuchaczów, gdyż fatalne stosunki, w zakładzie panujące, utrudniają pracę zarówno uczniom jak profesorom. Spodziewać się należy, że rząd, który dotąd tak po macoszemu traktował Akademię weterynaryi, obecnie przecież zdecyduje się coś dla niej uczynić i przeznaczy jakąś poważną kwotę na załatwienie najbardziej piekących potrzeb.

Uroczystości strzeleckie we Lwowie.

W święto „Bożego Ciała“ odbyła się we Lwowie wedle tradycyjnego zwyczaju intronizacya nowego króla kurkowego, którym na rok bież. został p. Franciszek Tabaczyński, znany przemysłowiec, właściciel wielkiej piekarni. Rano dnia tego zebrała się brać strzelecka w kościele archikatedralnym i wzięła udział w uroczystej procesyi. Po nabożeństwie udali się członkowie Tow. strzeleckiego do ratusza, a stamtąd o godzinie 11 ruszono orszakiem w 33 powozach ul. Teatralną, pl. Krakowskim i Gołuchowskich,



Wybory we Lwowie: Dr. Aleksander Lisiewicz, poseł okręgu V.

dalej ul. Karola Ludwika, Jagiellońską, Trzeciego Maja, Słowackiego i Kopernika w ul. Bogusławskiego do mieszkania nowego króla p. Tabaczyńskiego. Wśród obecnych byli: prezydent Ciuchciński, jako prezes Tow. strzeleckiego, radny Ohly, gospodarz Towarzystwa, obaj marszałkowie, chorąży p. Przyszlak, mistrz ceremonii K. Pepłowski i w. i.

Po przekąsce u pp. Tabaczyńskich i zwiedzeniu jego przedsiębiorstwa, udała się brać strzelecka na Strzelnicę, celem dokonania uroczystego obrzędu intronizacyi. U bram powitała przybywających kapela „Czwartaków“ i salwy moździerzowe. Następnie w wielkiej sali, przed portretem króla Zygmunta, dokonał mistrz ceremonii intronizacyi, przez wręczenie królowi złotego kura, pierścienia i medalu, a obu



Wybory we Lwowie: Ruch w dniu wyborów u zbiegu ulic Trzeciego Maja i Jagiellońskiej.

nowym marszałkom pp. Jasińskiemu i D. Grzybowi lasek i srebrnych miniatur kura. Po tym obrzędzie i rozdaniu nagród za celne strzały, odbył się pochód dokoła toru strzelniczego.

WALERY PRZYBOROWSKI.

CZERWONA MARA

Powieść z dnia wczorajszego.

6)

I poczęła się głośno śmiać, aż jej brzuch wydatny podskakiwał. Anielka już nie mogła wytrzymać. Wszystko w niej wrzało na widok tej wstrętnej baby, która tutaj w wiejskim dworze jej ojca rozsiadła się na kanapie, nazywa ją panną i opowiada bezwstydne historye. Nie miała wyobrażenia, żeby takie męty istniały na świecie; ale zaraz poczęła sobie myśleć. A to do jakiej deprawacyi doszło burżujstwo, jakie postaci bez czci, bez najprostszych wyobrażeń, co jest godziwe, a co nie, wytworzyło.

Wstała z krzesła z palącym rumieńcem wstydu i gniewu na swej ładnej twarzyczce i chciała pójść, poszukać Stanisława i powiedzieć mu, żeby tę megerę wypędził, bo ona nie jest żadną Kozłowską, ale jakąś Kapuścińską. Ale nie wiedziała, jak zrobić, pod jakim pozorem opuścić tę babę, gdy na szczęście drzwi się otworzyły i ukazał się w nich Wiśniewski, blady jak zawsze, z rozwianym długim włosem, zamyślony i smutny.

Anielka skoczyła do niego i szepnąwszy: zostań pan tu! — wybiegła.

VIII.

Po południu spadł rzęsisty deszcz i żyzny czarnoziem tych stron zamienił w grzązkie błoto. Trwał on krótko i śliczna pogoda po nim ozłociła blaskami słońca żółciejące niwy zbóż rozmaitych. Z pogodą tą spadł do Gór Iwan Nikiticz Baranowskij, naczelnik straży ziemskiej. Właśnie siedzieli wszyscy na werandzie, przy kawie popołudniowej. Pani Zygmuntowa, a właściwie, jak sama się nazwała, Zenobia Kapuścińska, królowała na pierwszem miejscu, w swym czepku z gorąco żółtemi wstążkami i jednem złem okiem spoglądała z gniewem na Siergieja Bolesławicza, który jej Ferdzia nazwał „mazurikiem, młokososem“ i twierdził, że gdyby on miał takiego syna, toby go „rózgami zasiekł“. Panna Aniela odsunęła się jak najdalej od „bezwstydnej baby“, jak określiła szanowną kuzynkę; Stanisław pogrążył się w swe nieskończone rozmyślania o marności wszelkich zabiegów na tym świecie, a młody Wiśniewski szeptał coś do ucha Anielce. Pani Schmid nalewała kawę ze swym zwykłym, dobrotliwym uśmiechem.

W takiej chwili zjawił się naczelnik, na którego widok niemile skrzywił się Stanisław, ale powstał i witał gościa i zapraszał do stołu. Naczelnik Baranowskij, silny brunet, z oczami nieco ukośnemi, zaokrąglony, pewny siebie, twierdził, że pochodzi z Tatarów litewskich i chętnie do swego imienia dodawał tytuł „Mirza Tuhan“.

— My, Tuhan - Baranowskij — mawiał — dawniej służyli kniaziom litewskim, a teraz naszej matce-Rosyi.

I zadowolony był z tego bardzo, a jeszcze więcej z siebie. Wszedł na werandę krokiem pewnym i śmiałym, obrzucił wzrokiem całe towarzystwo i począł zdejmować kalosze, które zostawił w kącie i gadał:

— Ot u was, pan dziedzic, mnoho gości. Zjazd to, czy co li?

— Pan wie — odrzekł Stanisław — że odbędzie się tu zjazd familijny dla odczytania testamentu mego stryja. Wszak zawiadomiłem pana o tem.

— Da, da! niczego! Ja tu do was, pan Stanisław, w drugiej sprawie, ze wszystkiem złej sprawie.

— Cóż takiego?

— Powiedz pan, gdzie wy podziali karabin z wierzby? a? powiedz pan, a?

— Ja nie podziewałem nigdzie żadnego karabina.

— Nu tak... wy nie podzieli... dobrze! nu, jego tam niema w wierzbie, ja kazał zrewidować wierzbę, tam są kości, gadają, co jakiegoś miatieżnika, a karabina ni! ni! Nu, to gdzie on się podział, powiedz pan?

— Nie wiem.

— A, pan nie wie... dobrze! pan nie wierzy, co tam niema karabina? Nu, to proszę za mną, pójdziemy do wierzby, ja tam strażnika postawił. Proszu pana za mną.

— Ale po co my tam pójdziemy?

— Da, to już moje dzieło, po co...

Stanisław nic nie odrzekł, chwycił kapelusz i powiedziawszy do zebranych gości:

— Przepraszam, zaraz wrócę! — miał się ku wyjściu.

Iwan Nikiticz Mirża Tuhan tymczasem z trudem wpychał na nogi olbrzymie kalosze gumowe, a widząc, że Stanisław nie ma podobnej ochrony na nogach, spytał:

— A wy pan bez kałoszy?

— Bez, przecież to lato.

— Da i cóż, że lato? błoto! błoto paskudne.

I uśmiechając się dodał:

— Ot pan, znać w was ducha buntowniczego. Znacie wy, że w Pieterburgu, to i wy dolżni nosić, brać przykład ze stolicy. Ja już podał projekt panu gubernatoru, żeby wydał rozporządzenie. Co to za bezporządek chodzić bez kałoszy?

W tejże chwili pani Zenobia Kapuścińska, niby małżonka wdowa po Zygmuncie Kozłowskim, podniosła się z krzesła i z wdzięcznym dygiem i wdzięcznejszym jeszcze uśmiechem (gdyby nie ohydne czarne zęby) rzekła najsłodszym, na jaki zdobyć się mogła, głosem:

— Pan naczelnik dobrodziej ma racyę.

Pan naczelnik dobrodziej spojrzał na babę, widocznie mu się nie spodobały jej dygi i jej uśmiech, bo nagle groźno zapytał:

— A wy, madam, kto?

Pani Zygmuntowa znowu dygnęła i spuszczając skromnie jedyne, jakie posiadała oko, rzekła:

— Ja, panie komisarzu, ja jezdem z Warszawy.

— Nu, kiedy wy, madam, z Warszawy, to wam co za dieło wmieszywać się tutaj? U was pasport jest?

— A jakże, przez paszportu bym była. Zaraz pokażę panu naczelnikowi dobrodziejowi. Ferdziu, gdzie mój pugilares?

Ferdzio, który siedział za stołem i łakomie zajadał bułkę z masłem i ile razy spojrzał na Siergieja Bolesławicza, tyle razy język pokazywał (czego na szczęście koleżski asesor nie widział), oburknął się.

— Niech mi mama parasola nie zawraca.

— Ach ty praski kołtonie, czekaj, nadrę ja ci łba później — szepnęła groźnie pani Zenobia, a uśmiechając się słodko do naczelnika, rzekła słodziutko — zaraz przyniosę.

— To później my tu jeszcze wrócimy. Wy, panowie, miejcie wasze paszporty, coby ja je zobaczył. Nu, pan Stanisław, stąpajmy!

Gdy wyszli i ciężkie kroki naczelnika w olbrzymich kaloszach ucichły, zerwał się Wiśniewski i potrząsając swą bujną czupryną i ściskając pięści, zawołał:

— Tyrany!... gnębiciele!... kiedyż się to skończy!...

— Da pan — ozwał się na to Siergiej Bolesławicz — wy prawdu gadacie: Tyrany, to tyrany, naczalstwo wszystko. Ot, co niedawno ze mną było: U nas w kantorze trzeba przychodzić równo w dziesięć godzin. Ja zawsze sam pierwszy przychodzę. A tak, jak ja żyję daleko, to i wychodzę z kwatery w początkach dziesiątego. Kilka dni temu w tył ja wyszedł rano do kantory i jeszcze był na Egiptskim moście, kiedy słyszę, puszka pali. Ja pytam się u gorodowego, poczemu to palą? A on mnie mówi, że to południe. Ja do zegarka, początek dziesiątego. Przyłożył do ucha, aż tu zegarek zastanowił się. Ja — dawaj prędzej na zwoszczyka. Przychodzę w kantoru, a tu i uprawlajuszczij jest, siedzi i srogo na mnie patrzy i mówi: wy, Siergiej Bolesławicz, podawajcie w odstawku! Za co, Iwan Kononowicz? pytam. Wy nie gadajcie, wy szlajecie się po mostowej, a tu roboty przepaść. Podawajcie w odstawku. Nu cóż, nie tyrany to? Na szczęście ja rozpowiedział wszystko, upokorzył się i dzieło uszło z rąk. A to co, malczyszka przeklęty?

Te ostatnie słowa były zwrócone do Ferdzia, który korzystając z tego, że Sergiej Bolesławicz zajęty był mocno opowiadaniem swej smutnej przygody ze spóźnieniem się do „kantory“, przypiął mu z tyłu ogromny pęcherz, napełniony grochem, niewiadomo skąd zdobyty, a który za najmniejszem poruszeniem koleżskiego asesora, straszliwy sprawiał hałas. Było to tak zabawne, że Anielka głośnym parsknęła śmiechem, nawet poważny Wiśniewski nie mógł powstrzymać smutnego skrzywienia ust, co u niego uśmiech oznaczać, a poczciwa pani Magdalena upuściła z przerażeniem bułkę, którą niosła do ust, i zawołała:

— Ach, mój Boże, co tak trzeszczy?...

Na szczęście, nie było przy tej scenie pani Zenobii, bo poszła poszukać „pularesu“, nie widziała zatem następstwa tej swawoli swego „synka sierotki“, bo by chyba wydrapała oczy Siergiejowi Bolesławiczowi. — Ten bowiem zdołał chwycić za szczecinową czuprynę rozhukanego chłopaka i darł go nielitościwie i krzyczał:

— A mazuryk! a malczyszka! ubiju, jej Bohu ubiju niegodiaja!

Chłopak oczywiście wrzeszczał w niebogłosy, wyrywał się z rąk asesora i pociągnął go za sobą, przyczem za każdym ruchem Siergieja pęcherz podskakiwał mu na plecach zabawnie i przeraźliwy grzechot wydawał. Nakoniec Ferdzio sierotka zdołał się wyrwać, odskoczył na bok, język wywiesił i krzyknął:

— Żebyś pękł psiakrew, małpo zielona!

W tejże chwili weszła pani Zenobia z „pugilaresem“ w ręku. Zobaczywszy ją, Ferdzio począł krzywić się i płakać i wrzeszczeć.

— Co ci to? Ferdziu, czegój się drzesz!

— Mama! ten... psiakrew mię bije! odrzekł, wskazując palcem na Siergieja.

Zaiskrzyło się strasznym gniewem jedyne oko mamy Zenobii. Pobiegła jak mogła najprędzej ku Siergiejowi, któremu pęcherz ciągle jeszcze podskakiwał na plecach, wzięła się pod boki i nuż krzyczeć:

— Kto śmie bić mego synalka sierotkę? Oczy takiemu byclowi wydrapię. Cóż ty sobie myślisz, obieżyświacie jakiś? Pyski zbiję, psiakrew, żebyś wiedział. Asesor! widzicie go! U nas na Pradze, to takimi asesoramy kominy, z przeproszeniem, wycierają. A zasie, a wara, bo mordę pokrwawię!

To mówiąc, podniosła pięść w kułak ściśniętą i pod nosem asesora nią wytrząsała, a ten, przerażony, cofał się ciągle, a pęcherz mu huczał na plecach, jak dzwon rozbity, on sam zaś mówił:

— Da madam...

— Madam? ja nie żadna madam, żebyś wiedział szychciarzu jakiś. Od madam mi tu będzie wymyślał. Portczęta to ma liche na sobie, ledwie się kupy trzymają i będzie tu wydziwiał...

Ciągle naprzód postępowała z pięścią podniesioną, asesor ciągle się cofał, nareszcie dopadł drzwi i co prędzej w nie uskoczył, wołając:

— Czort nie baba! Jej Bohu czort! — zamknął je szybko i tym sposobem uniknął strasznego gniewu pani Zenobii.

Teraz ta ostatnia, nie mając już przed sobą przedmiotu swego macierzyńskiego oburzenia, pobiegła ku Ferdziowi, który stał i patrząc na pięści matki, najspokojniej dłubał w nosie, chwyciła go i tuląc do siebie, łzawym głosem wołać zaczęła:

— O moje dzieciątko, synaczku mój, wszyscy tobą sobie gięby wycierają, boś jest sierotka, nie ma się kto za tobą ująć, nieszczęśliwe dziecko!

Ale nieszczęśliwe dziecko zupełnie obojętnie przyjmowało te pieszczoty, aż wreszcie znudzone niemi, wyrwało się, wołając:

— Odknaj mama do pierona i nie zawracaj kontramarki!

Poczem pogwizdując, wypadł, jak szalony, do ogrodu, gdzie długo jeszcze było słychać jego śpiew:

Deszczyk kropi, rosi mnie,
Moja Maryś nocuj mnie!

Tymczasem, gdy się te sceny odbywały we dworze, Stanisław, uwolniwszy się od Mirży-Tuhana przy pomocy pospolicie znanego sposobu, który to zdziałał, że gorliwy przestrzegacz urzędowego „porządku“, nie zajrzał już do dworu, by oglądać paszporty, napotkał koło owczarni Orczykiewicza, mocno przerażonego tem, że widzi panicza, idącego z „naczalstwem“ do nieszczęśliwej owej wierzby.

— Orczykiewicz — rzekł Stanisław — wiesz, co się dzieje?

— Niby dobrze nie wiem, ale widzę, co jest źle.

— Wiedzą już o tym karabinie.

— Olaboga!

— Jak myślisz, kto to mógł zdradzić? Bo że zdrada jest, to oczywiste.

— Hm! mruknął Orczykiewicz i zamyślił się, a obejrzawszy się ostrożnie dokoła szepnął:

— Ja też mam coś paniczowi rzec kuli tego.

— Cóż takiego?

— Wojtka Mecherzyny niema.

— Jakto niema?

— A niema, jak se hycel poszedł zawczoraj, tak się więcej nie pokazał.

— To on napewno zabrał ten karabin i w dodatku zadenuncyował mię strażnikowi.

— Pewnie, pewnie, że to tak. Hycel to ostatni.

— I nie wiesz dokąd on poszedł?

— Kto go ta wie panie, albo to teraz mało takich, jak on. Po lesie jeno schadzki miewają, gadają, co tera jeno sześć godzin potrza w polu robić, jakby to niby zboże patrzyło na ich godziny. Ono rośnie, jak mu Pan Jezus przykazał i nie będzie czekało, kiej dożreje, jeno się zacznie sypać,

i co oni wtedy zrobią ze swemi sześciu godzinami.

— To wszystko ja wiem i nie o to idzie — przerwał te uwagi Stanisław — trzeba, żebyś poszukał Mecherzyny, bo ten głupiec może innych bied nam napytać.

— A kajże panie ja go będę szukał?

— Mówisz, że się w lesie schodzą.

— A schodzą, ale czy tam bywa na tych schadzkach Wojtek, to ja nie wiem.

— Trzeba, żebyś raz poszedł, może go zobaczysz.

— Nie pójdę, panie, oni by mię zabili. Liworwery mają i noże, a zaraby pedzieli, co ja szpieg i zakantowaliby mnie. Ja szpieg! żeby ich...

Stanisław nic już nie gadał, ale zawrócił i w milczeniu poszedł ku domowi. Oszołomiała go ta burza, to rozpętanie się wszelkich żywiołów społecznych w kraju. Wielu rzeczy nie rozumiał, a może nie chciał rozumieć, a nadewszystko pytał się: po co to wszystko? jacy ci ludzie głupi! czy myślą, że nigdy nie umrą i żyć będą wiecznie i wiecznie używać tej wymarzonej szczęśliwości, dla której teraz krew strumieniami przelewają. I żebyż to było co nowego? ale wszystko to już było i pod słońcem nic nowego się nie dzieje! O głupia ludzkości!

IX.

Stanisław jednak nie każdą działalność na tym nędznym padole płaczu uważał za marną i zgoła do niczego nie prowadzącą, skoro człowiek, czy wcześniej, czy później skazany jest na śmierć. Sam to widział w logicznym rozwoju swej teoryi, że gdyby wszyscy ludzie tak samo sądzili, to ludzkość stałaby na pierwszym stopniu pierwotnej dzikości.

Ale były rzeczy, które go żywo interesowały, choć wiedział, że je kiedyś porzucić będzie musiał, bo śmierć nieubłagana usunie go od działalności. Wykształcony na politechnikach niemieckich, zajmował się naukami ekonomicznemi i finansowemi, do których okazywał zdolność nieposplitą. Badając je, zapomniał na chwilę, że śmierć, straszna śmierć czyha na niego i kiedyś, nie dziś, to jutro, oderwie go od tych studyów i od praktycznej w tym kierunku działalności.

I teraz powróciwszy od kilku miesięcy do kraju, zamieszkał w okolicy fabrycznej i przemysłowej, a przypatrując się ludziom i rzeczom, zauważył, że brak wszelkiego rodzaju stowarzyszeń i instytucyi ekonomicznych, przyczynia się bardzo wiele do ubóstwa klasy robotniczej i do jej bezwładności na zewnątrz, do jej odosobnienia i niemocy.

Postanowił więc temu zaradzić i w tym kierunku oddawna już agitował między robotnikami, których znał, lub których udało mu się poznać. Zwłaszcza dużo mu w tym względzie pomagał starszy już człowiek, pracownik w jednej z okolicznych przędzalni, Marcin Jabłoński, którego niedawno poznał, spotkawszy się z nim w jakieś święto na spacerze. Lubiał on rozmawiać z robotnikami i z ludem wiejskim, bo odgadł, że w tych umysłach nie zepsutych i nie zaśmieconych uczonością książkową, leży rdzeń prawdy i istotna mądrość świata.

Począł więc rozmawiać z p. Marcinem, a choć nie znalazł tam owej „istotnej mądrości świata", owszem umysł prosty, nieoświecony, zamącony wielu uprzedzeniami, pewną nienawiść do burżujów i do kapitalistów, pewien bezład idei, które, padając na grunt nieprzygotowany, odpowiednie płodziły owoce na pół dziwaczne, na pół potworne, ale z drugiej strony znalazł też serce dobre robotnika polskiego, duszę spragnioną światła i szczere przywiązanie do tej ziemi nieszczęśliwej, na której się urodził. Raz nawet stary Jabłoński, jak go nazywano, choć wcale starym nie był, bo nie liczył więcej nad lat czterdzieści, o mało nie rzucił się na jakiegoś głupiego wyrostka, który oszołomiony nowymi prądami, których nie pojmował, ale które jaskrawością swoją jego ciemny umysł opanowały, nazwał odwieczny symbol krajowy, gęsią.

Na takie naigrawanie się z przeszłości i deptanie jej nogami przez różnych kpów, stary Jabłoński nie pozwalał. On mógł nienawidzić burżujów, wyzysku kapitału, poniżenia sfery, do której należał, ale miał w głębi duszy pewną świętość, od której każdemu głupcowi wara! To pogodziło Stanisława z Jabłońskim, to był punkt, na którym ich dusze i serca się stykały i zlewały się w jedną wielką miłość, zapominały o walce klasowej, a miały przed sobą jeden ogromny ideał, jedno duszne pragnienie.

Ileż to razy Stanisław w dzień świąteczny lub niedzielny spotykał się z Jabłońskim na drodze, prowadzącej ku fabrykom, i szli w pole, kładli się gdzieś pod gruszą, wdychając w siebie woń dojrzewającego zboża, wsłuchując się w jego szum, w świergot ptactwa, w ćwierkanie przepiórek, w niezliczoną ilość tych głosów, drżących na polistych niwach polskich, ileż to i jakich rozmów z sobą nie prowadzili!

— Jużcić panie Marcinie — gadał Stanisław — niezaprzeczoną to prawdą jest, że każdy człowiek ma prawo do życia i do możliwej dozy szczęścia



zdołał chwycić za szczecinowatą czuprynę...

na tej ziemi; prawdą też jest, że społeczeństwo ludzkie źle jest urządzone i że trzeba dążyć do poprawy tego stanu rzeczy. Idzie tylko o to, jaką drogę dla tego celu wybrać.

— Myśmy już ją wybrali — odpowiedział Jabłoński.

— Wiem o tem; czy tylko ta droga jest dobrą i czy doprowadzi nie tylko was, bo wy jesteście tylko drobną cząstką społeczeństwa, ale i cały naród do celu?

— Hm! jużcić ja tego nie wiem, ale widzi pan oni gadają, że im tu wcale o naród nie idzie. Oni pedają, że nie są żadnym narodem, ale są ludźmi. Na ziemi nie powinno być narodów, odgraniczonych od siebie sztucznymi kopcami, ale ludzie we wszystkiem sobie równi.

— Piękna myśl, tylko nie nowa.

— Jakto nie nowa? mnie się widzi, że nowa.

— Niema nic nowego pod słońcem. Wszystko to już było.

— Hm! pan jest mądry człowiek, w książkach oczytany, ani słowa, ale tego chyba pan nie dowiedzie, żeby to, co oni gadają o narodach i ludziach, nie było całkiem nowem. Nikt tego przedtem nie powiedział i nikt o tem nie słyszał.

— Otóż mylicie się panie Marcinie, bo przed dwoma niespełna tysiącami lat powiedział to już Jezus Chrystus, mówiąc o jednym pasterzu i o jednej owczarni.

— A prawda!

— I w tem jest cały tragizm ludzkości, że wszystko, co wymyśli, za co gotowa krew lać, ponosić najcięższe ofiary, że wszystko to już było i minęło, by jako powrotna fala znów się zjawić, świat do głębi wzburzyć i znowu minąć. Wszystko niestety mija!

— Oj, co prawda, to prawda, że wszystko mija i radości i smutki, wszystko mija...

— Ale dlatego nie trzeba rąk łamać, ani też z tem walczyć, bo taki jest porządek świata. I nie o to wcale idzie, co będzie jutro i jak się tam inaczej ludzie urządzą, niech sobie nad tem głowę suszą nasi synowie, wnuki i prawnuki, ale o to, żeby to dziś było znośnem, dogodnem i dało nam możliwie największą ilość szczęścia. Rozumiesz ty to panie Marcinie?

— Jużcić rozumiem, co nie mam rozumieć?

— Otóż przeszliśmy do rdzenia kwestyi. Jakież są najbliższe, najbezpośredniejsze żądania klas pracujących, a nic nie posiadających? żeby coś posiadać, żeby mieć zapewnione jutro, spokojne życie na starość, możność wychowania dzieci na użytecznych obywateli kraju, nie być jednem słowem, proletaryuszem, nędzarzem zależnym od kapitału, od jego widzimisię, od jego wyzysku. Czy nie tak?

— Jużci, że tak.

— Robotnicy sądzą, że dojdą do tego drogą rewolucyi, drogą gwałtu, podziałem dóbr, unicestwieniem przewagi kapitału, a nawet zupełnem usunięciem go z dziedziny czynników społecznych. — Otóż zdaniem mojem w tym względzie się mylą. Kapitał jest zbyt silny, oparty na mocnych nogach, by się dał usunąć ze swego stanowiska i ma potężną broń w samej naturze ludzkiej, w egoizmie.

— To nic nie znaczy. Będziemy walczyli póty, póki go nie pokonamy.

— A potem co będzie?

— Czy ja wiem, co będzie. Jakoś się tam ludzie urządzą, a że lepiej i sprawiedliwiej, jak teraz, to pewne.

— Widzisz, panie Marcinie... był taki wypadek ot, niedalej, jak wczoraj w Warszawie. Był sobie stróż, ot, taki zwyczajny stróż w kamienicy, dajmy na to, na Żelaznej ulicy. Należał do związku stróżów, a na posiedzeniach wygadywał na kamieniczników, co się zmieści, że są zdzierusy, że sami nic nie robią, rozwalają się na aksamitnych kanapach, jedzą frykasy, mają utrzymanki, jeżdżą powozami, a biedny stróż mieszka w norze cuchnącej, ledwie, że ma co jeść i na wiechciu słomy spać, nie ma ani dnia, ani godziny spoczynku, a przecie on jest taki sam człowiek, jak jego pan — kamienicznik, tak samo, by potrafił nic nie robić, spać w puchach, jeździć powozami.

— Jużcić miał racyę.

— Oczywiście, że miał racyę, ale nie o to idzie. Niesłuszną jest rzeczą, że jedni nic nie robią, mają po dziesięć pokoi, powozy, konie, zbytki, a inni mieszkają w norach i nie są pewni, czy jutro będą mieli co do gęby włożyć. To jest powszechnie wiadome i spierać się o to nie będziemy. Lecz wróćmy do owego stróża. Zdarzyło się, że za uciułane dziesiątki od lokatorów, gdy im w nocy bramę otwierał, kupił sobie bilet na loteryę i wygrał wielki los.

— Szczęśliwy człowiek.

— A właśnie. Miał teraz dużo pieniędzy, był kapitalistą. Przedewszystkiem przestał być stróżem, wycofał się ze stowarzyszenia stróżów, ubrał się w cienki surdut, jeździł dorożką i jadał co dzień polędwicę z przysmarzanymi kartoflami, bo gadał, że on nie lubi sztuki mięsa, jeno „pieczenie". A że dawniej jego pan, kamienicznik, zanadto lubiał jeździć powozem, rozwalać się na aksamitach, hulać z damami z półświatka, więc musiał sprzedać kamienicę, którą kupił jego dawny stróż za wygrane na loteryi pieniądze.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ze wschodnich kresów.

Rozbudzony przed paru laty ruch narodowo-oświatowy wśród ludności polskiej, stanowiącej bardzo poważną mniejszość we wschodniej części kraju, rozwija się stale i położył już około uświadomienia tej ludności ogromne zasługi. Cały szereg kół miejscowych T. S. L. prowadzi tę szlachetną pracę zapomocą czytelń ludowych, wykładów, odczytów, pogadanek, organizując dalej włościańskie teatry amatorskie, zakładając bezpłatne kursy nauki czytania i pisania dla dorosłych analfabetów. Trzebiąc w ten sposób analfabetyzm, równocześnie uświadamia lud pod względem narodowym.

Wśród kół T. S. L., które najżywszą pod tym względem rozwinęły akcyę we wschodniej Galicyi, pierwsze miejsce przyznać należy Kołom tarnopolskiemu, brzeżańskiemu i zbaraskiemu. Działalność ich w ostatnim lat dziesiątku stanowić będzie jedną z najpiękniejszych kart w dziejach całego Towarzystwa szkoły ludowej i w dziejach odrodzenia narodowego polskiego ludu na wschodnich kresach.

Ostatni kurs dla dorosłych analfabetów, urządzony przez Koło T. S. L. w Zbarażu z inicyatywy zasłużonego kapłana ks. Niemca, powiódł się doskonale. Kurs ten, połączony z nauką gospodarstwa domowego, przeznaczony był dla dziewcząt ze Zbaraża i okolicy, które też bardzo licznie zgłosiły się na uczenice. Ośmiomiesięczna praca grona nauczycielskiego, złożonego z nauczycieli i nauczycielek szkół zbaraskich, wydała piękne plony, a dowodem tego był egzamin, urządzony na zakończenie kursu.

Z dumą i zadowoleniem może patrzeć na ubiegły rok pracy narodowej i Koło T. S. L. i inicyator kursu ksiądz Niemiec i wszyscy, którzy do pomyślnych wyników nauki się przyczynili.



Ze wschodnich kresów: Uczenice kursu analfabetów i gospodarstwa domowego, urządzonego staraniem Koła T. S. L. w Zbarażu. W pierwszym rzędzie siedzą nauczyciele i nauczycielki kursu, z ks. Niemcem.

Jeszcze Marokko.

Z uwolnieniem Fezu od oblężenia nie skończyły się wcale zamieszki w Marokku. Jeszcze płonie pożoga buntu, a chociaż pretendent do tronu Mulej Ziu, który niedawno ogłosił się był sułtanem, ukorzył się przed Mulej Hafidem i błagał go o łaskę, nie znaczy to jednak wcale, by z wolą jego pogodzili się i jego zwolennicy.

Pod wpływem Francuzów przedsięwziął już wprawdzie władca Marokka kilka kroków, które mają na celu uspokojenie wzburzonych umysłów. Ustępstwem uczynionem poddanym jest niewątpliwie usunięcie od rządów wszechpotężnego do niedawna wezyra El Glaui'ego, który dzięki srogości swej i dumie, stał się powszechnie znienawidzonym.

Czy wszakże ludowi to wystarczy? Czy najzbawienniejsze reformy, pod wpływem Francuzów przeprowadzone, nie wydadzą się sfanatyzowanym Marokkańczykom nową formą ucisku? Czy zresztą Francuzi potrafią czuwać dość bacznie nad Mulej Hafidem, aby rzeczywiście wstrzymać go od zbrodni i okrucieństw, których tyle dotąd popełnił? Czy, pokonawszy powstańców, nie będzie on przedewszystkiem za wszelką cenę myślał o zemście?

W każdym razie przyszłość spustoszonego, znękanego bratobójczą wojną kraju przedstawia się w niezbyt jasnych barwach. Obawa komplikacyi w polityce europejskiej z powodu wmięszania się Francyi w jego sprawy, okazała się płonną. Ale same te sprawy są tak zawikłane i trudne do uregulowania, że francuscy mężowie stanu i strategicy z ciężką troską czekają dalszych wypadków.

Zamieszczamy parę illustracyi odnoszących się do stosunków marokkańskich. Na jednej widzimy wezyra El Glaui'ego, druga przedstawia jeńców wojennych, schwytanych przez wojska sułtana i pro-



Jeszcze Marokko: Tabor generała Moinier przeprawiający się podczas marszu ku Fezowi przez rzekę.



Jeszcze Marokko: Pojmani powstańcy, prowadzeni przed oblicze sułtana.

wadzonych do więzienia, trzecia przejście wojsk generała Moinier przez jedną z rzek bliskich Fezu.

Z walk w Albanii.

Albania jest od niepamiętnych czasów powodem ciągłych kłopotów Turcyi. Kraj ten, zdobyty po uporczywych i zawziętych bojach, stał się częścią państwa ottomańskiego, ale wojownicza ludność dotąd nie pogodziła się z losem i raz po raz powstaje przeciwko zdobywcom, wierna tradycyom narodowego bohatera Skanderbega, który ze stałem po-



Jeszcze Marokko: Wezyr El Glaui, którego Mulej Hafid, zgodnie z życzeniem Francyi, usunął od rządów dla uspokojenia poddanych.

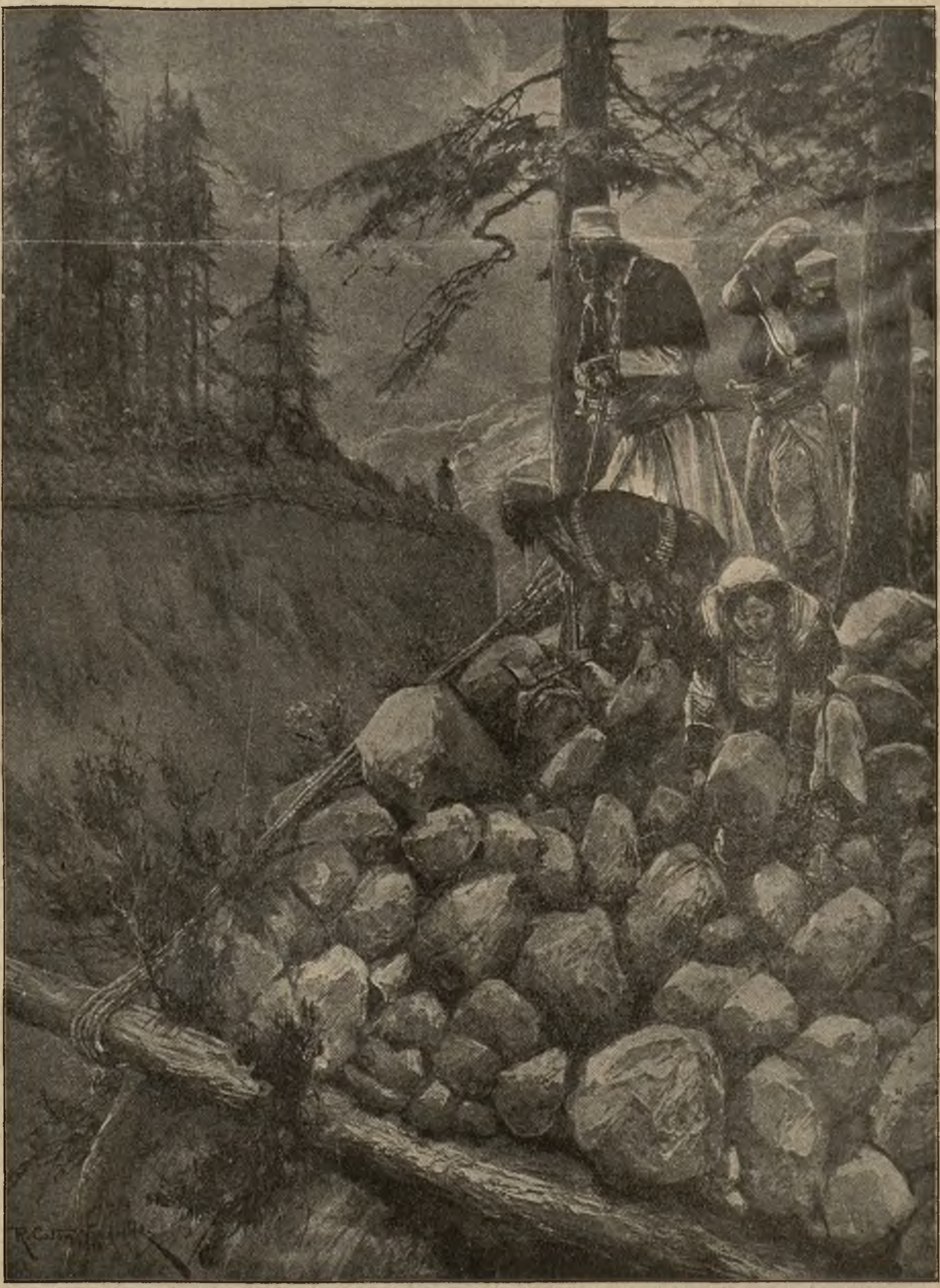
wodzeniem walczył z Turkami przez lat kilkadziesiąt w XV. wieku.

Tegoroczne powstanie Albańczyków było z wielu względów niezwykle groźne, przedewszystkiem wybuchło ono w czasie, kiedy rząd młodoturecki musiał nieustannie udaremniać skierowane przeciwko sobie zamachy reakcyonistów, a nadto łono samego stronnictwa, które przyszło do władzy, nurtowały niesnaski, wywołane bądź to osobistą ambicyą, bądź to ścieraniem się mniej lub więcej umiarkowanych poglądów. Nadto ruchawka albańska była powszechna, gdyż wzięły w niej udział wszystkie szczepy, zarówno mahometańskie, jak prawosławne i rzymsko-katolickie. Wreszcie wszystko wskazywało na to, że Albańczycy rozpoczęli działania wojenne po grutownych przygotowaniach, wspierani potajemnie ludźmi, bronią i pieniądzmi przez Czarnogórę i Włochy. Ludność tych ostatnich parła nawet rząd ku otwartemu wystąpieniu przeciw Porcie, a syn Garibaldiego zamierzał na czele dziesięciotysięcznego legionu wyruszyć na pomoc powstańcom.

Ale Włochy nie zdecydowały się na ten krok ryzykowny. Pozbawiona ich poparcia Czarnogóra również zlękła się następstw zatargu z Turcyą, a rząd Porty wziął się energicznie do stłumienia ruchu. Równocześnie mocarstwa europejskie, a zwłaszcza Austrya, która z obowiązku opiekuje się tureckimi chrześcijanami, rozpoczęły akcyę dyplomatyczną, dążącą do zapewnienia Albańczykom żądanych swobód i amnestyi. Ponieważ wojna toczyła się ze zmiennem szczęściem, a górski jej teren utrudniał niezmiernie ruchy armii Szefket-Turgut paszy, rząd turecki okazał się skłonnym do ustępstw i obecnie działania wojenne są skończone, a Albańczycy składają broń i powracają do domów. Sułtan ogłosił, że zaniecha ścigania uczestników ruchu i uwzględni postulaty wojowniczego ludu.

Nie można jednak być pewnym, czy przy zawziętości i mściwości wojsk tureckich i niespokojnem usposobieniu szczepów albańskich drobny jakiś powód nie rozdmucha napowrót płomienia wojny.

Podajemy illustracyę, przedstawiającą epizod z walk między wojskiem tureckim a powstańcami.

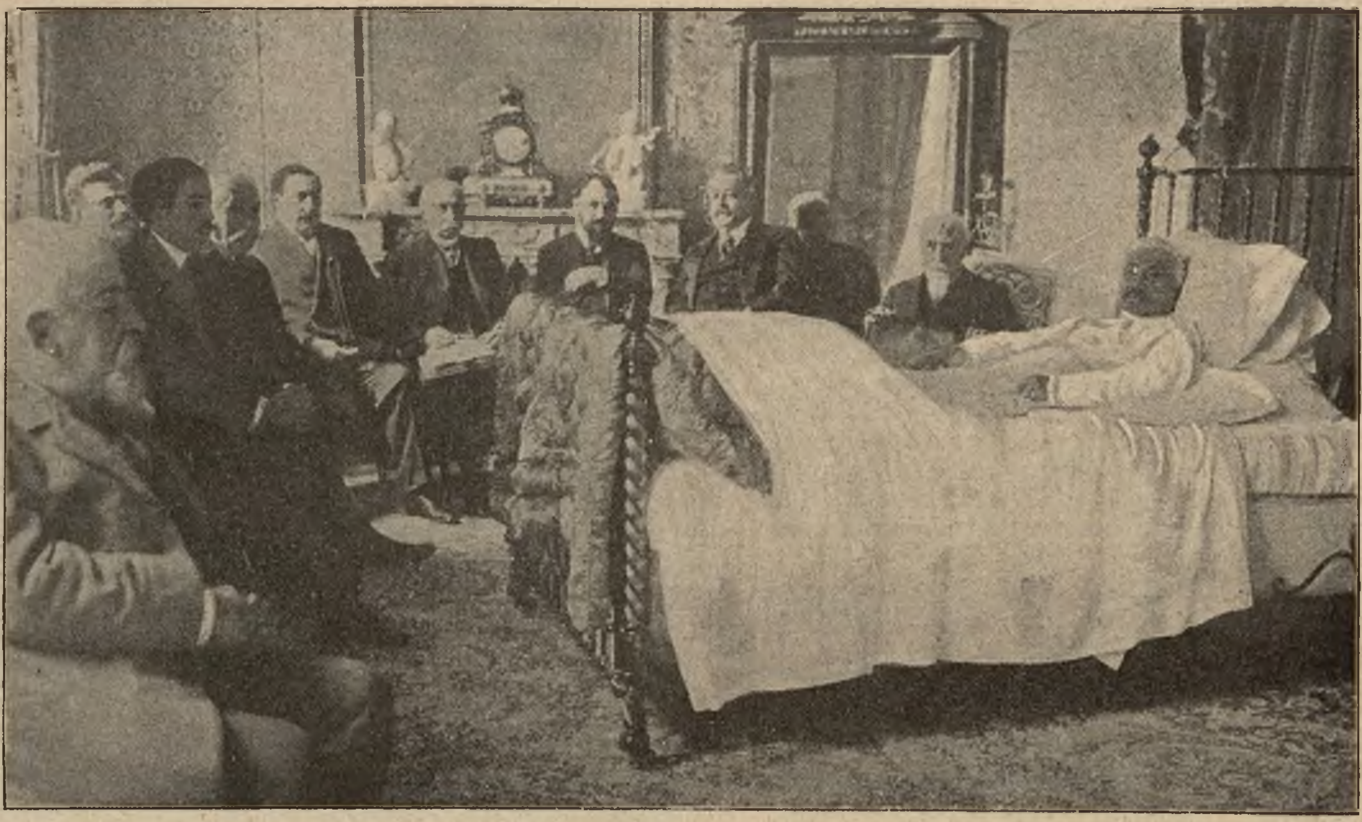


Z walk w Albanii: Powstańcy ze szczepu Mirydytów czekają na ukazanie się Turków w górskim wąwozie, aby po przecięciu lin, stoczyć na nich przygotowane pnie i olbrzymie głazy.

W braku artyleryi posługiwali się oni w obronie górskich przesmyków starym i wypróbowanym — choćby przez Szwajcarów — środkiem. Mianowicie staczali na posuwające się naprzód oddziały nieprzyjaciela olbrzymie głazy i pnie, przygotowane naprzód i umocowane linami, które w odpowiedniej chwili przecinano.

Pod znakiem przesilenia.

Gabinet francuski p. Monis'a pracuje niemal od początku pod znakiem przesilenia i w ciągu swej trzymiesięcznej egzystencyi nie miał nigdy silnego gruntu pod nogami. Po Briandzie objął w spadku sprawę strajków kolejowych; następnie wyłoniły się sprawy szpiegostw, fałszerstw i szacherek orderowych, nie dotykające wprawdzie gabinetu bezpośrednio, ale kłopotliwe dlań w wysokim stopniu. Dużo kłopotów następnie miało i ma ministerstwo z nowym kursem w sprawie marokkańskiej, który doprowadził do poważnego konfliktu z Hiszpanią. Wreszcie nieszczęsny przypadek, katastrofa w Issy-les-Moulineaux, przyprawiła gabinet o ciężką stratę, wyrywając z jego łona siłę tej miary, co Berteaux, a samego prezesa gabinetu rzucając na łoże choroby.



Pod znakiem przesilenia: Narada gabinetu francuskiego przy łożu chorego premiera, Monis'a.

Najwięcej atoli kłopotu ma gabinet Monis'a z winogradnikami szampańskimi, którzy niezadowoleni decyzyą rady stanu, wprowadzającą obok *Grande Champagne*, szampanię drugiej strefy i krzywdzącą w ten sposób departament Aube, grożą nieustannie nowymi rozruchami; a wiadomo, że raz już musiano winogradników z tego powodu uspokajać przy pomocy wojska.

Gabinet zaś nie jest jednego zdania w tej kwestyi, w szczególności b. minister skarbu Caillaux wpłynął na kilku członków obecnego ministerstwa w duchu odmiennym od opinii premiera. W ubiegłym tygodniu odbyła się właśnie w tej sprawie rada gabinetowa przy łóżku chorego Monis'a, przyczem okazało się, że znaczna część gabinetu nie podziela zdania prezydenta ministrów.

Sytuacya więc była bardzo krytyczna i widmo przesilenia groziło znowu Francyi. Ostatecznie jednak doszło do porozumienia dzięki temu, że Monis uległ życzeniom innych członków gabinetu. W najbliższym mianowicie czasie przedstawi rząd parlamentowi projekt nowej ustawy w sprawie odgraniczenia okręgów szampańskich, przyczem pierwotny zamiar wprowadzenia „drugiej strefy“ zostanie poniechany. Wogóle administracyjne granice okręgu Szampanii zostają zniesione a rząd przywraca w ogólnych zarysach dawną ustawę z 1824 r., która użycza przetworom winnym opieki na podstawie wykazania ich prowe niencyi.

Czy jednak krokiem tym uratuje gabinet Monisa na długo swą pozycyę, dziś przewidzieć trudno. Nie jest wykluczone, że i to rozstrzygnięcie nie zadowoli winogradników z Aube i że ostatecznie „szampan“ wywoła przesilenie i zmusi gabinet do ustąpienia.

Oddział szermierzy lwowskiego „Sokoła“.

Jednym z najzdrowszych i najpiękniejszych, można powiedzieć najszlachetniejszych sportów jest niewątpliwie szermierka. A u nas ma ona od wieków utrwalone prawo obywatelstwa, ma swoje świetne tradycye. Wszak niegdyś w Polsce każdy młodzieniec z szlacheckiej rodziny poczytywał sobie za chlubę największą dobre władanie orężem, wszak w pojedynczych spotkaniach „na rękę“ najwięksi zagraniczni mistrzowie fechtunku ulegali znakomitej, w krwi polskiej niejako leżącej umiejętności władania bronią ręczną niepozornych nieraz oficerów polskich. Postać takiego niezrównanego fechtmistrza polskiego, Wołodyjowskiego, upamiętnił też bardzo pięknie w swej trylogii Henryk Sienkiewicz.

Niestety w ostatnich czasach szlachetny ten sport nie znajdował wśród naszej młodzieży tylu zwolenników, ilu ich powinien liczyć. Z szczerem uznaniem też powitać należy akcyę kilku klubów szermierczych, istniejących w większych miastach polskich, oraz akcyę „Sokoła Macierzy“ we Lwowie, który w swoim oddziale szermierzy uprawia od lat kilku sport szermierczy.



Oddział szermierzy lwowskiego „Sokoła“: Grono najlepszych szermierzy oddziału „Sokoła-Macierzy“, z nauczycielami pp. Szemelowskim i Sedlaczkiem w pośrodku.

Początkowy rozwój oddziału szermierzy w Sokole lwowskim szedł dość opornie, dopiero kiedy przed dwoma laty na czele jego stanął zarząd bardzo energiczny i szczerze w tym sporcie zamiłowany, doprowadzono do pięknych rezultatów, do prawdziwego rozkwitu. Już zeszłoroczny turniej był bardzo piękny, turniej zaś w tym roku urządzony świadczył o daleko idącym rozwoju Oddziału.

Załączona illustracya przedstawia członków Oddziału, którzy uczestniczyli w tegorocznym turnieju, oraz dwu nauczycieli pp. Szemelowskiego i Sedlaczka. Ci właśnie uczestnicy turnieju stanowią grono najdzielniejszych szermierzy, których wogóle Oddział liczy około 100.

W program wspomnianego turnieju wchodziły walki szkolne i paule-assaut, wszystkie przeprowadzone z szczególniejszą precyzyą. Kierował niemi wojskowy nauczyciel szermierki p. Weissman z obu stałymi nauczycielami i p. Wrońskim.

Wszyscy na rycinie przedstawieni szermierze są już dziś wysoko wyszkoleni, a do najlepszych należą pp. Vambera i Sobolewski.

Warszawscy goście w Pradze.

Niedawne odwiedziny gości z Czech w Warszawie i serdeczne przyjęcie, jakiego tam doznali, zapisały się niezatartemi głoskami w pamięci uczestników i przyczyniły do tem silniejszego zaciśnięcia węzłów polsko-czeskiego braterstwa. Wprawdzie przyjaźń między obydwoma narodami kultywowaną jest bardziej ze strony polskiej i pojmowaną daleko idealniej, niż ze strony Czechów, którzy szczególniej na Śląsku nieraz dają się nam we znaki, zbliżenie jednak obu najpotężniejszych szczepów słowiańskich w Austryi wskazanem jest i ze względów politycznych, stanowić bowiem może bardzo skuteczną zaporę przeciw zakusom germanizacyjnym wszelkiego rodzaju hakatystów, których i w Austryi nie brakuje.

Z tego powodu z radością witamy każdy objaw zbliżenia czesko-polskiego, widząc w tem zapowiedź lepszej przyszłości.

W dniu 12. czerwca zawitały nad modrą Wełtawę słuchaczki wyższych kursów gospodarczych w Chyliszkach pod Warszawą w liczbie dwudziestu dwu, które pod przewodnictwem profesora dra Grotowskiego przybyły do stolicy Czech, celem poznania bratniego narodu, jego zwyczajów i obyczajów i społecznych urządzeń. — Między uczestniczkami znajduje się i siostrzenica czeskiego namiestnika hrabiego Thuna, hrabianka Czapska, wnuczka założycielki krakowskiego muzeum imienia hr. Hutten-Czapskich.

Zatrzymano się najpierw w Ołomuńcu, gdzie wycieczkę powitał imieniem czeskich korporacyi na Morawach, poseł sejmowy dr. Fischer.

Po krótkim pobycie odjechały młode gosposie do Pragi i zamieszkały w hotelu arcyksięcia Stefana. Pod przewodnictwem przedstawicieli praskich stowarzyszeń rozpoczęto zwiedzanie osobliwości miasta, spotykając się na każdym kroku z nadzwyczaj serdecznem przyjęciem. Wycieczka zabawiła w Pradze kilka dni, a uczestniczki wyniosły stąd nadzwyczaj przyjemne wspomnienia.



Uroczystości strzeleckie we Lwowie: Prezydent Ciuchciński (w kontuszu) z nowym królem kurkowym, p. Tabaczyńskim. (Fot. M. Münz, Lwów.)

Pół wieku na posterunku.

Krakowskie seminaryum nauczycielskie żeńskie obchodziło w ubiegłym tygodniu piękną uroczystość. Grono nauczycielskie, młodzież zakładu i szerokie koła naszego społeczeństwa chciały oddać hołd pracy i zasłudze, cichej wprawdzie i nie szukającej rozgłosu, mimo to jednak wydatnej i obfitej w owoce.

Dyrektor seminaryum, radca Roman Vimpeller, obchodził półwiekowy jubileusz pracy na niwie szkolnictwa bądź to jako profesor gimnazyalny w Krakowie i Tarnowie, bądź też jako inspektor okręgowy w Tarnowie i Nowym Sączu, wreszcie jako dyrektor seminaryum męskiego w Rzeszowie i żeńskiego w Krakowie. Przez ten czas dał się Jubilat poznać jako wytrawny i nad wyraz miłujący młodzież pedagog, o czystym jak łza i prawym charakterze, oddany całą duszą zaszczytnemu, a jednak ciężkiemu i odpowiedzialnemu zawodowi. Tysiące młodzieży wyszły z pod jego rąk i zajmują dziś najwybitniejsze stanowiska w kraju i daleko poza jego granicami, tysiące nauczycieli i nauczycielek, rozsianych po całej Galicyi, wspomina ze czcią nazwisko swego kierownika, biorąc sobie z niego wzór, jak należy spełniać uczciwie swe obowiązki zawodowe i obywatelskie.

W uroczystości, która na wyraźne żądanie Jubilata miała czysto domowy charakter, wzięło udział grono nauczycielskie zakładu wraz z młodzieżą, reprezentanci rządu i szkolnictwa, oraz grono osób, związanych ściśle z krakowskiem seminaryum. Po odśpiewaniu okolicznościowej kantaty przez chór uczenic, przemówił dawny uczeń dyrektora Vimpellera, delegat namiestnictwa, radca dworu dr. Fedorowicz i wręczył mu order żelaznej korony, nadany przez cesarza Franciszka Józefa w uznaniu wieloletniej a tak owocnej pracy. Następnie przemawiał wysłannik rady szkolnej krajowej, radca dworu Zaleski, podnosząc zasługi Jubilata, poczem zabrała głos imieniem uczenic starszych abituryentka Kozłowska, imieniem młodszych Kalinowska, imieniem zaś grona nauczycielskiego ks. profesor Masny. Przedstawiciel komitetu obywatelskiego, radca Sołtysik, po odpowiedniej przemowie wręczył wzruszonemu Jubilatowi książeczkę Kasy Oszczędności na trzy tysiące koron z przeznaczeniem jej na fundusz kolonii wakacyjnych dla seminarzystek imienia Jubilata. Jako jeden z najstarszych uczniów dyrektora Vimpellera w serdecznych słowach podniósł redaktor Konopiński jego hart ducha i serdeczny stosunek, jaki go zawsze łączył z młodzieżą.

Wzruszony do łez podziękował Jubilat zgromadzonym, podnosząc, iż przewodnią myślą w życiu była dlań zawsze praca dla dobra ojczyzny i społeczeństwa.

Z końcem bieżącego roku ustępuje dyrektor Vimpeller w dobrze zasłużony stan spoczynku.

Z okazyi jubileuszu radcy Vimpellera i serdecznej owacyi, jaką na cześć Jubilata urządzono, zamieszczamy w dzisiejszym numerze w uzupełnieniu słów powyższych Jego portret.



Warszawscy goście w Pradze: Grono uczestniczek wycieczki kursów gospodarczych z Chyliszek pod Warszawą.

BEM

POWIESC HISTORYCZNA Z XIX WIEKU

przez WACŁAWA GĄSIOROWSKIEGO.

34

Tymczasem, zanim fala ludu zdołała opamiętać się, zanim klubiści zdążyli rozgadać się — już dwa szwadrony ułanów poznańskich zniosły pierwszą gromadę siepaczy.

Klub zgrzytnął.

Żywioł, szalejący nietylko jednym zmiotem, pochłonął ławice nadbrzeżne ale i brzegom nowy przedpiersień zbudował.

O godzinie drugiej w nocy generał-gubernatorem Warszawy został — Krukowiecki!

Czyżby Rząd narodowy ocknął się z paniki, lub Izby pod grozą wypadków na tę zdobyły się nominacyę?

Nie.

Krukowiecki nie szukał dla się podpisów, ani kontrsygnowanych patentów.

Na pierwsze echa rozruchów wielki wdział mundur, ruszył na plac przed Zamkiem, kędy ostatnich ciągniono męczenników i przemówił.

Jak przemówił? — O tem ci, co otaczali generała, słabe mieli wyobrażenie a rozkołysany tłum żadnego.

Krukowiecki był tym z generałów, który przecież za bary wodził się Rządem a na zdradę dzwonił — więc „niech żyje Krukowiecki!"

— Wiwat gubernator! — poprawił się tłum.

Krukowiecki salutował i... przyjął szarżę.

W pół godziny później Krukowiecki wydawał rozkazy swemu poprzednikowi... W godzinę piorunową odbył z Niemojowskim naradę, o świcie rządził.

Ale klub nie dał za wygraną, nie dał się okiełzać i motłoch uliczny kilku szarżami. Pióropusze iskier znikły, płomienie zgasły ale ogień, pożar trwał, na nowe ujście się czaił, nowego oddechu szukał.

Krukowiecki atoli był graczem nad graczami. Na obrady Honoratki miał sojuszników, miał nawet tuza nad tuzami, któremu i ksiądz Puławski nie mógł się ostać i Lelewel poradzić. Za Krukowieckim ozwali się jego sprzymierzeńcy w rodzaju Krępowickiego, Płużańskiego i Saniewskiego ale i Mochnacki!

Stronnictwo księdza Pułaskiego ryknęło ze zgrozy, lecz na protest ich odpowiedziały trąbki karabinierów. Generał Sznajde wkroczył do Warszawy. Na placach piechota zakładała biwaki...

Nazajutrz pałac Rządu narodowego i Izby sejmowe zawrzały.

Ojcowie narodu zasiedli przerażeni, spłoszeni, bo w Warszawie klął i gromił Dębiński, bo Dębiński bagnetami groził, bo o szubienice wołał na wichrzycieli, na podżegaczy, na Honoratkę, na Izby bodaj! Listę wisielców tym razem rozpoczynał Lelewel.

A jakby na dopełnienie grozy — lud, choć łańcuchami wojska miarkowany, wyległ i huczał i pomstował.

Rząd narodowy podpisał abdykacyę...

Stany rozstrzygały. Piekło intryg, knowań, poszeptów, agitacyi, sporów zakotłowało się...

Ale lud huczał, wojsko szemrało a nadomiar tam, w pałacu Radziwiłłowskim, na dyktaturę czekał jeszcze Dębiński — jeszcze łamał się, czyli mu przystało bez pergaminu i pieczątki się obejść...

Każda chwila zwłoki mogła być Izb zgubą.

Krukowiecki czuwał.

Imię Prądzyńskiego znów zabrzmiało i znów najgenialniejszy ze strategików, którzy żadną nie chcieli dowodzić bitwą, odmówił.

A po kwatermistrzu wspomniano na Bema! Podniesiono jego zasługi i nie pytano go o zgodę. Bem nie miał ani stronników, ani wpływów, ani pojęcia, że o nim pamiętano.

Echa salwy armatniej pod Utratą przerwały spory — prezesem Rządu narodowego został Krukowiecki.

Dębiński zawrzał. Postanowienie Izb poddawało go władzy prezesa, czyniło Krukowieckiego wszechwładnym dyktatorem — panem, monarchą!

Wódz naczelny siły zbrojnej znieść tego nie mógł — bo wogóle nie był w stanie ścierpieć Krukowieckiego. Ten ostatni oddawał mu z nawiązką.

A że nadto książę Czartoryski jeszcze nie wyrzekł się prawa głosu i w obozie prowadził wiece, a dalej i Skrzynecki i Prądzyński i Kaliszanie, i zdesperowani klubiści i Umiński i trzydziestu innych na jedno przystać nie mogli — więc walka u steru znów wybuchła.

Dębiński z pięściami do oczu szedł Krukowieckiemu. Posiedzenia Rady wojennej zamieniły się w karczemne sprzeczki... a podczas, podczas armia Paskiewicza zaciskała pierścień, podczas lasy, pola i łąki okoliczne zalewały rosyjskie dywizye...

Ale dni Dębińskiego były policzone. Jego odezwa po mordach warszawskich obraziła lud, jego zapalczywość żołnierska i chęć wrócenia subordynacyi, pogrzebanej do reszty, odebrała mu serce wojska — lekkomyślność Władysława Zamojskiego powaliła go ostatecznie...

Szesnaście armat i tysiąc czterysta żołnierzy poszło do niewoli tuż pod lunetami warszawskiemi!

Kto winien? — Los, wyrok, zrządzenie Opatrzności!

Generał Łubieński wydał rozkaz Ramorinowi odprawienia rokonesansu. Ramorino juści wręczył papier swemu naczelnikowi sztabu, Zamoyskiemu. Zamoyski znów, jako wczorajszy podporucznik strzelców konnych, miał nieco osobliwe o taktyce rozumienie, więc przeinaczył rozkaz i miast jazdy, wyprawił piechotę, no i stało się!...

Dowódzca rekonesansu, pułkownik Gallois został oczywiście „zdrajcą" — Zamoyskiego próbował dosięgnąć sąd wojenny — Dębiński zaś milionem przekleństw bluznął i zawiesił szpadę na kołku.

Krukowiecki zamianował sobie własnego wodza.

Tymczasem pamiętna noc krwawych porachunków nietylko na publicznem i wojskowem zaciężyła życiu ale i smutkiem, troską, bólem ozwała się w izdebkach, dworkach i pałacach. Trwoga, lęk, niepewność jutra zakołatała z całej mocy. Niewiara, przygnębienie docierały do najtęższych serc.

Tak z pozoru niby było, jak po dawnemu, jak przed tygodniem a przecież inaczej. Na teatrach śmiano się na „Skrytych drzwiach" — cieszono „Miotełkami" i lubowano w głębi poetycznej „Fra Diavola" — z pozoru jednakowo — ludziska rozprawiali po kawiarniach, dowodzili a nawet ławą pod Zamek chodzili — a przecież, choć pozory docna też same powtarzały sentymenty, upodobania, nawyknienia a inaczej, inaczej już się działo. Ludek prosty nawet osowiał, spochmurniał. Bo gdzie! Nie było domku na Powiślu, na Starem-Mieście, żeby nie strachał się o swojaka, którego karabinierzy zagarnęli i trzymali pod strażą, jako posądzonego o mordy! Juści zgoła niewinnie, boć każdy teraz dowieść mógł, że nocy owej spał snem serdecznym! A tu Krukowiecki sądy zwołał i ma strzelać bez pardonu!

Nawet i te domki, w których żadnego szpiega nie zagałuszono i w których na nikogo nie padło posądzenie — nawet w tych czegoś impetu brakło. Majsterek, co miał rezonu okseft, jejmość, co się na „całkiem" wojsku znała od maleństwa, co przez lat dziesięć nie darowała żadnej rewii na Saskim Dziedzińcu — chodzili zwarzeni, nasępieni, po dniu kiwali się sennie, po nocach stękali, jak we dnie.

Zresztą i miasto samo wyglądało osobliwie. Kawiarnia „pod Dziurką" zawarta, u Madejowej okiennice zamknięte, niczem na Wielkanoc, u „Honoratki", w pałacu Chodkiewiczów, gości prawie wcale, właścicielki nie widać a wuj Olechowski chodzi z obwiązaną gębą i podpuchłem okiem ledwie mrugnąć może. Pod Bankiem dwie armaty, pod prymasowskim pałacem znów armaty, armaty przed kwaterą generała Krukowieckiego a co krok, już nie gwardziści, znajomkowie, kamraci, lecz dyabły ogorzałe, wychudzone a srogie, że gęby nie uchyl, jeżeli kolbą szturchnięcia nie chcesz. I u wielkich państwa nie lepiej. Wiadomo, że już od karnawału z połowa pałaców się wyniosła, bacząc, że snadniej im w Dreźnie, Krakowie, Wiedniu lub Paryżu politykę czynić, potencyi pilnować i dyplomatyczne maszkary, bale i fety sprawiać dla miłości ojczyzny — niż tu w Warszawie daremnie siedzieć. Ale była jeszcze garstka siedzib możnych, która dotrzymywała placu kamieniczkom. A teraz i te pociemniały, pogrążyły się w głuszy, umilkły. Aż osobliwość — bo miasto otoczone, bo o wyjeździe choćby do badów roić nie podobna.

Jedna tylko drużka i po tej nocy nie zawiodła — ona jedna zabiegała szczerze, aby przecież Warszawa nie wyzbyła się zgoła swego szczerego charakteru. Tą drużką była cholera. Ona chodziła sobie po dawnemu ulicami, placami, zatarmosiła człekiem tak dobrze na teatrze, jak i w Saskim ogrodzie, nie pytała nikogo o poglądy, klubistę, kaliszanina, oficera czy żołnierza, skręcała mu trzewia i dosyć. Warty nie warty — placówki czy wedety, także forpocty czy inne, wszędy sobie znajdowała ulubieńców.

Do najdziwniejszych atoli zmian, spowodowanych wypadkami nocy pamiętnej, należały bezwątpienia te, które zaszły w mizernem życiu paralityczki Olesiowej.

Staruszka od kilku tygodni zdawała się być już pół szkieletem, pół trupem. Martwota jej czyniła z dnia na dzień postępy. Od nóg do prawej szła ręki. Wyraźną dotąd mowę Olesiowej zamieniła w cichy bełkot a i mózgowi dokuczyła ciężko, bo kuma profosa Dziurbackiego nie troszczyła się o nic, zaprzestała ulubionych swych wypomnień a nawet z obsługującą ją szewczanką przestała się wadzić.

Tyle — jak mówili sąsiedzi — że dychała jeszcze a mrugała na śmierć.

Podczas cisza głęboka zalegała izdebkę Olesiowej. Kum Dziurbacki przez dwa dni częściej do niej zagadywał, ale ani razu odpowiedzi nie odebrawszy, zaniechał daremnego trudu. — Cóż, pora była biedactwu, po tylu latach, na wieki i całkiem skrzepnąć. — Zresztą Dziurbackiego służbowe obowiązki musiały pędzać, bo tyle że zajrzał na Zapiecek, tyle czasem, że się pokazał.

Wieczorem przed ową pamiętną nocą, szewczanka, jak co dnia, zaświeciła stoczkiem do oczu Olesiowej a obaczywszy iż paralityczka powiekami trzęsie, dała jej się napić mleka, ogarnęła nieco posłanie, kaganek przed Matką Boską objaśniła i poszła sobie.

W izdebce zapanowała cisza, przerywana sennem brzęczeniem much i chrobotem myszy, zabierających się do jakiejś okrutnie twardej pracy.

Trwało tak, gdy nagle z ulicy wpadły do izdebki pierwsze odgłosy wszczynającego się na ulicy zgiełku.

Muchy przylgnęły oniemielone. Myszy umilkły, nawet kulawy stołek zadygotał ze zdziwieniem. Olesiowa ani się poruszyła.

Zgiełk zaś rósł, potężniał, niby przewalający się po chmurach grom, to z groźnym pomrukiem oddalał się, to znów zbliżał się z hukiem i łomotem.

Już i szyby jęły się odzywać i kaganek przed Matką Boską prychać ognikiem i kubki blaszane trącać się między sobą a dzwonić — odruch protestu budził się i w starej, spruchniałej szafie. Jedna Olesiowa leżała wciąż bezwładna, z zamkniętemi palcami rąk. Jeno mętne, przygasłe zazwyczaj oczy staruszki rozpaliły się na węgle i żarzyły skrami.

Upływały tak godziny.

Wrzawa, zgiełk uliczny, który dotąd jakby omijał kamieniczkę, jakby jej bokami tylko się wałęsał — zbliżał się, walił ku niej wprost...

Chude, guzami nasęczone piąstki staruszki jęły trząść się na bezwładnych przegubach rąk.

Wrzawa rosła, wzmagała się, aż wybuchła piekielnym łomotem i wyciem. Uderzenia siekier zlały się z ogłuszającym trzaskiem. Kamieniczka zadrżała w posadach.

Naraz, tuż za ścianą, zabrzmiał okrzyk rozpaczliwy, straszny i utonął w chrapliwym jęku...

Ciało Olesiowej na ten zew wyprężyło się jak struna i zachrzęściało stawami. Paralityczka dźwignęła się i usiadła na posłaniu...

— Śmierć zdrajcom! — Na latarnię sprzeda wczyka!! — huczały przed kamieniczką pomięszane głosy.

A Olesiowa teraz natężała muskuły, wyginała kadłub, mocowała się, aby i nogi oderwać, aby powlec się w ślady za swemi gorejącemi ku drzwiom oczyma...

Wrzawa ucichła, kamieniczka ledwie odzywała się poszmerem urywanych rozmów, szara poświata skradała się do izdebki a staruszka precz z własnem odrętwieniem toczyła walkę.

Walka była to okrutna. Z ust paralityczki nie dobywał się żaden głos, żaden stęk, ręce jej, wpijające się w krawędź łóżka, były na struny wyciągnięte, skręcony, natężony kadłub zdawał się być zastygłym. Jeno wzrok staruszki, jeno skrzące się oczy mówiły, iż całe jej życie, całe serca kołatanie skupiło się na zmożenie, skruszenie więzów, pokonanie martwoty, która jej skuwała nogi.

Mózg Olesiowej był tak przytem owładnięty walką, iż nawet zastanowienia jego nie obudziło, że właśnie te upragnione drzwi skrzypnęły, że profos Dziurbacki ukazał się w nich zdyszany z jakimś osobliwym tobołem na ręku i że wspiąwszy się żwawo po drabinie na swoje poddasze, wszczął tam osobliwy rwetes i krętaninę.

Dopiero okrzyk zdumienia szewczanki, która wsunęła się rano do izdebki z mlekiem — ocknął staruszkę. Olesiowa porwała za kubek z mlekiem i jęła je chłeptać chciwie.

Szewczanka się przeżegnała.

— Wszelki duch!... A to chyba, że jejmości zelżało!

Olesiowa cmoktnęła resztkę mleka i gęby utarła. Szewczanka ledwie oczom własnym wierzyła.

— Jejej! Myśmy właśnie powiadały, że z tego gwałtu jejmości utrzęsie do cna! Już wczoraj jejmość była prawie zimna.

Paralityczka obruszyła się gniewnie:

— Pilno ci do gałganów po mnie?! Chciałabyś?

— Ale bo, toć aby powiadam, że wczoraj rewo-

lucya szła — jejej! Lepiej niż ze stu obwiesili zdrajców... Nawet tego, co tu podle drugiej sieni mieszkał u Kwiatkowskiej, z pod łóżka ściągli...

— Wiem!

Szewczanka aż pociągnęła nosem.

— Bo i... książęcia będą na stryk...

— Wiem.

— Chyba jegomość Dziurbacki powiadał...

— Nikt mi nie powiadał. Wiem wszystko. Tak musi być!

Szewczanka cofnęła się ku drzwiom zabobonnie.

— Nagotujesz mi klusek.

— Uważam.

— Byle rychło, bo czas w drogę, trzeba się zmocnić!...

Jeszcze południe nie wyszło, gdy już cała kamieniczka na Zapiecku zagadała o pomięszaniu rozumu, co naszło na Olesiową, głodem niezaspokojonym ją trawi i dziwami o podróży gada od rzeczy.

W istocie zaś paralityczka od dziesiątków lat nie miała jaśniejszego o wszystkiem pojęcia. Toć ledwie Dziurbacki zsunął się po swej drabinie — ona, miast z wyrzekaniami — odrazu zagadnęła go:

— A jegomość tam kogo na komornika przybrał?

Profos skonfundował się.

— Kumka, mosanie, coś nie zgorzej!...

— A no, mam się, na psa urok. Lecz tam z wami jakaś po górze się szwenda?

— Nizacz! Aby ten... Antoszka.

Olesiowa kiwnęła na znak pojęcia.

— Niby ta, co jegomość mówił, po Staszku?

— A wy skąd?

— Kalkuluję! — Będzie szturm!

— Hę?

— Będzie. Przyjdzie lada dzień. Trzeba się zbierać. Jeno muszę dużo zjeść, jeszcze dużo zjeść. — Inaczej „Szuwarów“ by mi uczynił...

Profos, na to zakończenie zbył się konfuzyi.

— Niech tam kumka licha nie wywołuje!

— Ani mi. Hetmanów obwiesili!

— Co wy znów! Obraza Boska. Czterech sprawiedliwych generałów...

— Po jegomościnemu generałów a po mojemu hetmanów...

— Troją się wam dawne dzieje...

— Nie dawne. Szuwarowa tylko patrzeć! Zajączek nie poradzi, nikt nie poradzi. Tak było i tak będzie. Wojtaszkowa też nie wierzyła. A potem, jak się wszystko na most rzuciło, to nie zdążyła. Z dzieckami się upiekła, choć dom też nie był drzewiany! Nie macie tam choć kruszyny chleba? Muszę się zmocnić.

Paralityczka bajdurzyła jeszcze o tem, że i „Kościuszek“ „Szuwarowi“ nie sprosta, że wszelka nacya do Prusaka musi pójść i że w Warszawie, aby Zygmunt się ostanie, bo z takiego jest kamienia, co się go kule nie imają — aż opatrzona przez Dziurbackiego zawiesistą kromką chleba z serem, pogrążyła się w łapczywem ćpaniu.

Profos zwyczajny był tych wywodów Olesiowej i konceptami je zbywał — a przecież tym razem kamieniem mu pod serce zapadły. Czy to że połączone były z niespodziewanem odżyciem staruszki, czy to że jego samego wizye jakoweś naszły. Dość że myśl mu sama rwała się w dal przeszłości i łudziła, jakby raz jeszcze te same dzieje miały się powtórzyć.

Dziurbacki zrazu nie dawał się temu przywidzeniu.

Bo i gdzie! Co minęło, to minęło. Wówczas inaczej a i teraz inaczej będzie! Tam woluntarstwa rozmaitego a tu wojsko i nie żadne regimenty koronne czyli litewskie, z których uczciwego batalionuby nie skleił, jeno pułki! — Tak, tak, kara Boska swego nie pofolguje! I trzeba i trzeba! Tylich generałów! — Pasy drzeć z tałatajstwa! — Stać się musi. Ale co o tem! Pilniejsze ma na głowie! Olesiowa, jak Olesiowa! Faramuszki. Polski nie będzie — hm — to już tak! Lecz coś w jej miejsce przecież, gdzie po ludzku mówić będą! — Byle smarkula wydobrzała...

I Dziurbacki skradał się cichaczem pod więźbę dachu, kędy na jego posłaniu widniała blada twarzyczka, opromieniona koroną złoto popielatych włosów i wsłuchiwał się w równy poszmer oddechu.

Lecz po każdej takiej inspekcyi złe myśli jeszcze bardziej go się czepiały.

— Bo cóż, niema co, Opatrzność czuwała nad nim wczoraj! Inaczej biedactwoby zadziobali, szelmy. I jeszcze nie poradziłby sam, żeby nie porucznik Iliński, który na Cydzika wpadł i karabin mu wytrącił a jemu, Dziurbackiemu dał czas, aby małą porwać i w ogród pomknąć. — Dziw, że Madejowej nie widać! Musi osłabła. — Była Opatrzność. Ludzie różnie każą a tu przecież... Niechby krzynkę się potknął, już rozbójnikom biegli z pomocą! — Hm, ale juści Opatrzność ma co lepszego do czynienia, niż się ciągle turbować o tę kruszynę! Olesiowej precz Szuwarów się troi! Trzebaby coś. — Tu zacisznie jest — piecze do kaduka, no bo lato, dachówki się nagrzewają — ale niech pójdzie szturm... Jedna kula... tfy! — żeby, mospanie, w podłą godzinę! — Cie dopiero babie Szuwarów uwiązł!!

Nazajutrz atoli wraz z rumieńcami, które zagrały na twarzyczce Antoszki i Dziurbackiemu pojaśniało czegoś. Olesiowa prawiła mu swoje, ale profos nie baczył, może dlatego, że miał okrutnie wiele turbacyi.



Krukowiecki salutował i przyjął szarżę.

Dziewczyna przyszła niby do siebie, niby i piła i jadła i mrugała przytomnie oczyma — a niech tylko stukot jaki lub pogwar żwawszej rozmowy z uliczki na poddasze sięgnął — wnet ją drżenie napadało, bladość i ziąb taki, że ani rady sobie dać.

Profos już i wódki z pieprzem dwa razy jej dał i ziółek a co gdzie kto w drewutni zakołacze, już usta Antoszce sinieją, już w kłębuszek się zwinie i dygocze, jak pęczek osinowych liści na najwyższej witce.

Dziurbacki z tego wszystkiego aż przekonanie do własnych leków stracił i kiedy na dziewczynę znów paroksyzm naszedł, chwycił za czapę medyka szukać.

Lecz Antoszka, z której dotąd słowa nie mógł dobyć, zakrzyknęła nań z rozpaczą.

Profos się wystraszył.

— Może cię na wnątrzu?! Hę?! Powiadaj, bo to nie przelewki... Co?!

— Nie odchodźcie mnie! Nie zostawiajcie!

— Wrócę zaraz!

— Nie — nie, bo przyjdą! Zabiorą mnie!

— Cóż zaś!

— Nie dajcie mnie, nie dajcie!...

— Nazywaj mnie dziadkiem! Aspannie się ubrdało! Któżby się ważył tutaj!

— Nie zarzną mnie?

Dziurbackiego mrowie przeszło.

— Cóżeś ty kura jaka? Głupstwa ci się ochapiają! Niechby się pokazał!...

— I nie przyjdą po mnie?

Profos ofuknął, lecz zerknąwszy na drobne rączyny, na jej wątłą, drobną postać, złagodniał i jął Antoszce prawić, jako teraz nikt palcem jej nie będzie śmiał tknąć, jako źli ludzie wyginęli na świecie a jeżeliby który jeszcze chodził, to póki Antoszka dziada się trzymać będzie i najgorszy nie poradzi, jako Kurpiance nie godzi się lękać, bo na Kurpiach tchórze się nie rodzą, jako dostanie spódniczkę w kwiatki, gorsecik wyszywany i trzewiki z dzyndzelkami czerwonymi, jako zresztą aby dziada słuchać powinna a nie zapatrywać się na Staszka, co póty się wałęsał, aż się zawieruszył.

Dziurbacki prawił tak długo Antoszce a gładził jej jedwabiste sploty. Dziewczyna słuchała z natężeniem. Bezładne, poplątane słowa wachmistrza koiły ją snać, krzepiły tężej od ziółek.

Za czwartem zaaplikowaniem podobnej perory, Antoszka już nie zwracała uwagi na dochodzące ją odgłosy.

Dziurbacki jeszcze dzień zmitrężył przy dziewczynie, aż zaniepokojony niepokazywaniem się Madejowej, postanowił iść do niej.

Antoszka widząc, że profos gotuje się do wyjścia, jęła krzywić się i wzdychać — lecz Dziurbacki na ostre poszedł. Zawstydził ją mazgajstwem, przykazał, aby nie ważyła się na dół po drabinie schodzić do Olesiowej, wściubił jej bicz koralików a wreszcie napomniał:

— Furda, mospanie. Byle zbiegam na Stare-Miasto i Madejową ci przyprowadzę...

— Madejową?

— Zgadłaś? Jakże ci ona wypadnie — chyba że... ciotką... A no, więc sobie nie kucz. Siła dobrego ci życzyła, tedy należy wdzięczność okazać. Więc ci ją przyprowadzę...

— I tego... tego oficera także? — naprzykrzyła się nieśmiało Antoszka.

— Co — kogo!?

— Tego pana oficera...

— Officie... ra!?

— Tego co tam, co wtedy, co taki dobry... — jąkały coraz ciszej usteczka dziewczyniny, spłoszone groźnym łyskiem oczu wachmistrza.

— Uuhuhu!... Takie to aspannie chodzą po głowie zmartwienia? Taka cnota na Kurpiach się narodziła? Oficiera aspannie już potrza a nie ślimaczka? Dobrze wiedzieć... I może w hulańskim mundurze? Hę?

— Nie, w takim, w takim, prawie, jak dziadek!...

— Taaak, mospanie?! A no, dobrze wiedzieć! — Hę? — Ma się rozumieć, już ja ci go wyszukuję!

To wyznanie Antoszki wzburzyło Dziurbackiego. Ani wątpić, że dzieciak złego obyczaju nabrał i jakimś smykiem, szelmą, zaprószył sobie mózgownicę. Żeby chwycić odmieńca, przecherę! Z oka jej nie można! Ulęgałka! Tfy! Ale on jej to wyklaruje tam, gdzie potrza. Ci Staszek poranteli się dopytał... Lecz kiej smyk mógłby jej?!... Chyba na tym Zamku. Poniewierało się nieboże między wszelakiem...

Zawarte okiennice gospody pani Madejowej przerwały profosowi tok myśli.

Dziurbacki się zakłopotał i zawrócił sienią do drugiego wejścia. Tu na progu Kaśka, wyręczna Madejowej, aż przykucnęła na ziemi na jego widok.

— Rety, a to pan wachmistrz nie we więzieniu!?

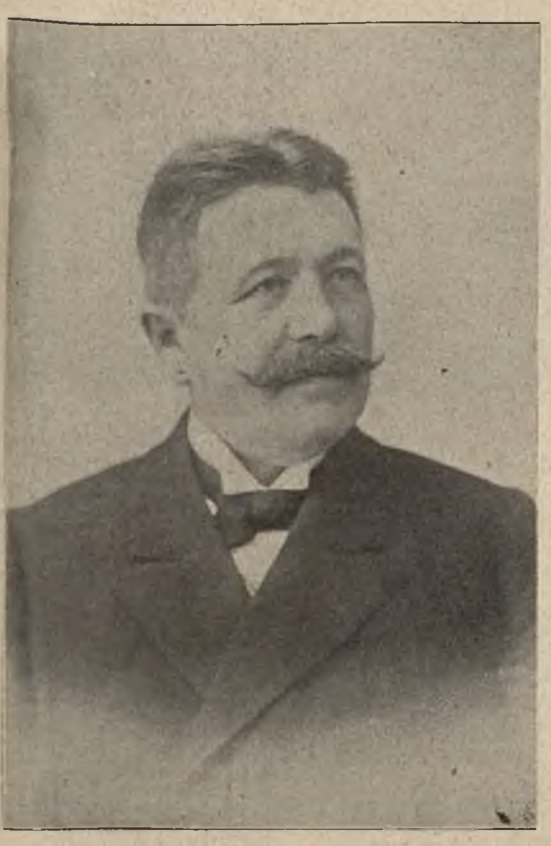
Profos ledwie ust uchylił, gdy Kaśka obces zalała go potokiem słów:

— Pani Madejowa? Niema pani Madejowej, niema kulawej szewcowej, niema rzeźniczki i Jaworszczanek też niema! Siedzą na ratuszu i będą wisieć! A jakże. Sam obywatel Sitarski, co przy „majstracie“ sługuje, powiadał i jeden woźny „trebunalski“ powiadał.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Zgon byłego posła krakowskiego.

Krakowowi i stronnictwu demokratycznemu ubył jeden z ludzi zasłużonych i ogólnie poważanych. Zmarł dr. Ignacy Petelenz, dyrektor szkoły realnej i b. poseł do parlamentu, człowiek skromny, lecz nieposzlakowanej prawości i wytrwałej pracy. Tragiczny zbieg okoliczności sprawił, że zgon jego nastąpił właśnie w chwili, gdy niepomyślny wynik



Zgon byłego posła krakowskiego: S. p. dr. Ignacy Petelenz.

wyborów napoił goryczą tego męża zasłużonego i dzielnego.

S. p. Petelenz urodził w r. 1850, w r. 1872 został profesorem gimnazyalnym, w r. 1889 powołano go na stanowisko dyrektora gimnazyum w Samborze, w r. 1896 objął kierownictwo krakowskiej szkoły realnej. Jako pedagog odznaczał się sumiennością i wyrozumiałością, położył też niepoślednie zasługi dla nauki. Przez jakiś czas był docentem politechniki lwowskiej, a jego podręcznik zologii dla szkół średnich uchodzi za jedną z najlepszych polskich książek szkolnych.

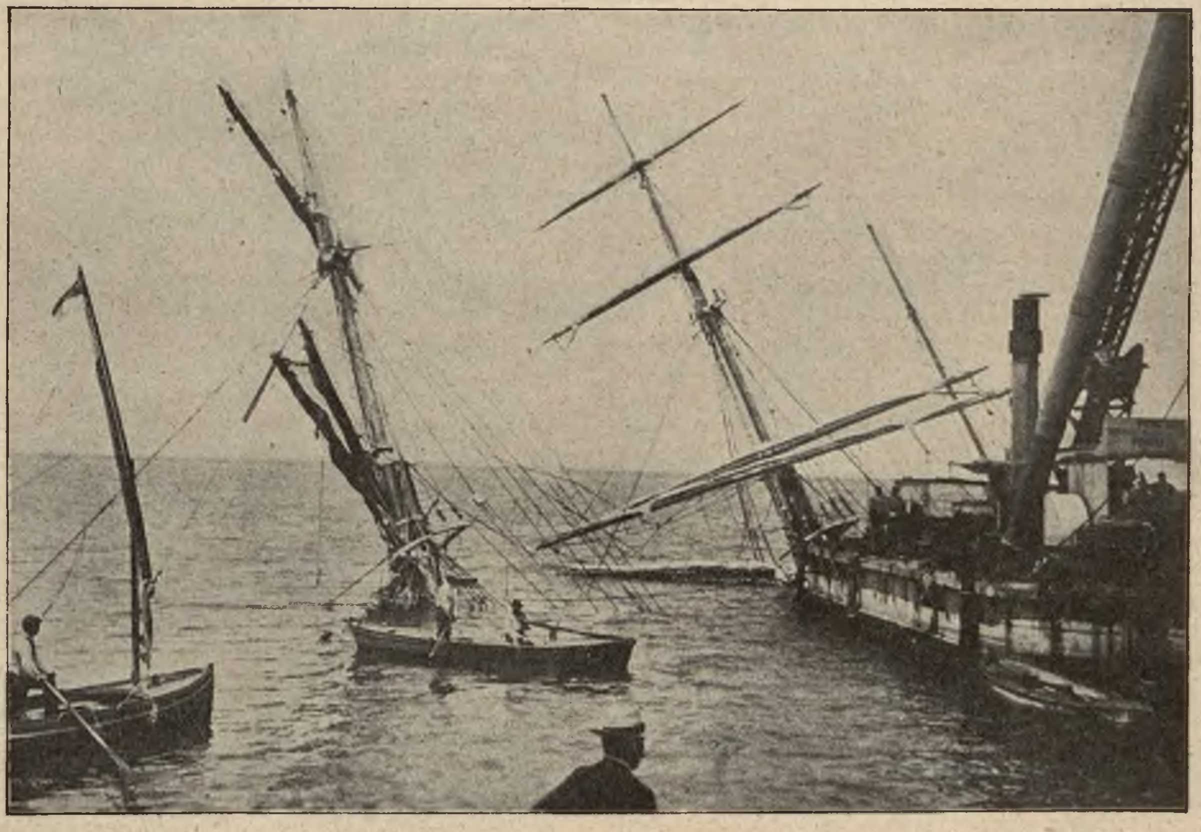
Karyerę polityczną rozpoczął w r. 1901, zyskując mandat po ś. p. Weiglu i w ostatnim parlamencie kuryalnym odznaczył się jako znawca spraw szkolnych, zwolennik powszechnego prawa głosowania i doskonały mowca. Przy wyborach w r. 1907 odniósł świetne zwycięstwo nad przywódcą krakowskich socyalistów, skupiwszy wokoło siebie żywioły narodowe i oddał się dalszej pracy parlamentarnej. Niestety w ostatnich czasach stracił wiele ze swej popularności dzięki krzywdzącym zarzutom, czynionym mu przez przeciwników, wyzyskujących skwapliwie pomyłkę dziennikarską, a tegoroczne wybory przyniosły mu utratę mandatu, o który ubiegał się nadal, prowadzony tylko poczuciem obowiązku, gdyż nadwątlony organizm jego oddawna wymagał spoczynku po wytężającej pracy. W kilka dni po wyborach zasłabł, ciężka operacya okazała się niezbędna, a serce, na które chorował już przedtem, nie wytrzymało jej następstw.

Utraciliśmy w ś. p. Petelenzu jednostkę zacną i szlachetną. Cicha a wydatna praca zapewni jej bez wątpienia zaszczytną pamięć w społeczeństwie, które nie jest bez winy wobec zmarłego.

Nic dziwnego też, że wiadomość o ciężkiej, śmiertelnej chorobie zasłużonego męża, a następnie o jego przedwczesnym zgonie wywołała w całym Krakowie bardzo szczery, serdeczny żal i głębokie współczucie. Zrozumiano powszechnie, że w śmierci śp. Petelenza w tych warunkach tkwi coś prawdziwie tragicznego. — Cześć pamięci zacnego człowieka!

Orkan w Tryeście.

Kroniki miast portowych zapisują często wzmianki o gwałtownych powodziach morskich, spowodowanych orkanem. Powódź tego rodzaju powstaje wówczas, gdy od strony morza wieje nieustannie gwałtowny wicher, pędzący przed sobą coraz to nowe fale, które dochodzą niejednokrotnie do kilkupiętrowej wysokości, przelewając się jedne przez drugie, niszczą wszystko, co napotkają po drodze. Taka powódź niezależna jest od odpływu. W okolicach podzwrotnikowych szaleją często powodzie morskie w rozmiarach nigdzie indziej nie widzianych, w innych zdarzają się stosunkowo rzadziej.



Orkan w Tryeście: Roboty ratunkowe celem wydobycia zatopionego okrętu.

Na Adryatyku rzadko bardzo zalewają fale morskie nadbrzeżne okolice, najgwałtowniejszy bowiem wiatr „bora“ wieje od strony lądu, odpiera więc od niego napływ bałwanów.

W nocy z dnia 14 na 15 czerwca b. r. rozszalała się nad Tryjestem gwałtowna burza. Pędzone orkanem fale przewyższyły ochronne budowle i wpadłszy do miasta, zalały nadbrzeżne dzielnice dosięgając aż do Piazza Grande. Wśród ryku orkanu i huku bałwanów ginęły alarmowe sygnały syren okrętowych, potężne kolosy morskie, niby łupiny orzechów, miotane szalającemi falami, uderzały raz po raz o kamienne molo. Wiele z nich rozbitych poszło na dno, inne z połamanymi masztami i rejami poniosły fale na pełne morze, gdyż liny okrętowe nie wytrzymały gwałtownego naporu rozhukanych bałwanów i popękały.

Terenem katastrofy był tryesteński port handlowy, który też najwięcej ucierpiał, podobnie jak nadbrzeżne dzielnice miasta i portowe budowle ochronne. Dzięki Bogu działo się to podczas odpływu morza, wobec czego siła fal pędzonych ku lądowi była stosunkowo dość słaba.

Wielu majtków i robotników, którzy pracowali jeszcze na molo pomimo spóźnionej pory, porwały fale ze sobą, o ratowaniu nieszczęśliwych ani nawet nie można było myśleć, gdyż miasto całe, a z niem i port pogrążone były w głębokiej ciemności. W pierwszej chwili sądzono, że powodem katastrofy jest gwałtowne trzęsienie ziemi, przerażona ludność zaczęła już opuszczać mieszkania, wnet jednak przekonano się o bezpodstawności tego przypuszczenia.

Dopiero nad ranem, gdy orkan nieco się uspokoił, tysiące ludności wyległy na wybrzeże, aby oglądnąć dzieło zniszczenia. Jak daleko sięgnie oko, całe wybrzeże od Tryestu aż poza Miramare pokryte jest szczątkami rozbitych okrętów, kolosalne kamienie, stanowiące ochronne budowle portowe, poniosły rozszalałe bałwany jak lekkie piłeczki hen daleko...

Z pomiędzy okrętów, które w czasie katastrofy znajdowały się w porcie, wiele mniejszych zatonęło, większe doznały poważnych uszkodzeń, stosunkowo niewielką szkodę poniósł L'loyd austryacki, bo zaledwie tylko na ćwierć miliona koron.

Dotąd nie stwierdzono jeszcze, ile osób zginęło, na razie ustaloną jest liczba ofiar w ludziach na 27. Niewątpliwie jednak powiększą ją późniejsze poszukiwania. Byli to głównie rybacy dwu bark greckich i osoby, zabite złamanym masztem koło Barcoli.



Orkan w Tryeście: Żaglowiec, rzucony na tamy portowe.

Kronika tygodniowa.

Przepowiedziałem w poprzedniej kronice, że zanim następną (to jest dzisiejszą) pisać mi przyjdzie, będzie już po wyborze galicyjskich zbawców narodu. Tymczasem przepowiednia moja nie ziściła się — wprawdzie wybory odbyły się, ale wyborcy okazali ogromny brak decyzyi, połowa bowiem mandatów nie znalazła właścicieli. Tak jest przynajmniej w zachodniej Galicyi — jak wypadnie we wschodniej, dowiemy się dopiero po napisaniu kroniki. Polityczni experci (nie mam tu na myśli profesora Sikorskiego) różnią się w zapatrywaniu, jakie na to złożyły się przyczyny. Kiedy jedni sądzą, że ludność wiejska, zasmakowawszy w zabawie, dążyła do jej powtórzenia, co się jei też w części udało, to drudzy przypuszczają, iż głównym motywem wyborców była chęć powtórnego obrotu finansowego. Co do mnie oprócz tych przyczyn upatruję jeszcze jedną, w niedołężnej ordynacyi wyborczej, która potworzyła zbyt wielkie okręgi, aby wyborcy mogli dojść do porozumienia. W braku kandydatów powszechnie znanych i cieszących się popularnością, każdy zakątek popierał swego „domowego“ kandydata — więc okolice Pipidówki głosowały za Janem, Głupczyce wybierały Piotra, ulubieńcem Wielkich Błot był Paweł, a w Małych Dziurach padały głosy na Walentego. Dodajmy jeszcze, iż w tym jednym okręgu pipidówko-głupczycko wielkobłotomałodziurskim znajduje się ośm stronnictw politycznych, a zrozumiemy obfitość kandydatur, a w następstwie tego rozstrzelenie się głosów. W Krakowie w jednym tylko okręgu na całym kilometrze kwadratowym było trzech kandydatów, a już wybór nie przyszedł do skutku — jakże więc żądać, aby na 100 kilometrowej przestrzeni, usianej tuzinem kandydatów, posiadającej 10 razy więcej niż jeden miejski okręg wyborców, doszło odrazu do porozumienia. Wyjątki być mogą — właściwie był tylko jeden okręg wiejski, w którym obu posłów wybrano — ale z reguły tylko jakaś bardzo wybitna indywidualność, wsparta olbrzymią, natężającą i zasobną w grosiwo agitacyą, może odrazu otrąbić zwycięstwo. Weźmy bowiem pierwszy lepszy przykład: w okręgu 36 padały głosy na kandydatów Kubika, Smieszka, Stohandla, Misiołka, Dobiję, Kramarczyka, Ponińskiego, Panicę, nie licząc już takich, co dostali mniej niż 1000 głosów. Skąd żądać, aby choć jeden z tych kandydatów pobił odrazu wszystkich, stąd też cieszący się największą ilością głosów Kubik zgromadził obok siebie zaledwie 3.000 zwolenników na 15 tysięcy głosujących. Pewnie i drugi wybór nie doprowadzi do rezultatu — będzie trzecia zabawa: wybór ściślejszy.

Pierwszy więc charakterystyczny rys wyborów: rozbicie. Drugi: zupełny upadek tak zwanej polskiej demokracyi, która się przechwalała, że posiada obecnie wpływ najsilniejszy i która sądziła, że dla niej są wprowadzone powszechne wybory. Zwycięscami dotychczas z „bloku“ konserwatywno-ludowo-demokratycznego są tylko konserwatyści i ludowcy, a właściwie tylko konserwatyści, ponieważ ludowcy to p. Stapiński, a p. Stapiński jest w obecnej chwili sojusznikiem, a raczej wykonawcą woli konserwatystów. Poza „blokiem“ zwycięscami są jeszcze socyaliści. Wyszło ich już trzech: Daszyński, Klemensiewicz (wchodzi na miejsce wybranego w dwu okręgach Daszyńskiego) i Gross, a mają wyjść jeszcze Marek i Żuławski, nie licząc tych, których wybierze Galicya wschodnia. Zaliczyłem do socyalistów dra Grossa, opierając się na jego słowach, że „jest w jednym palcu większym socyalistą, niż w całem ciele“ dr Drobner i inni Kazimierscy socyaliści. Dowiadujemy się również z jego mowy, iż „przywódcy socyalistyczni byli zdania“, iż powinien wstąpić do Koła polskiego.

Ponieważ zapewne czytelnicy, jako moi od pół roku znajomi, chcą prawdopodobnie wiedzieć, za kim głosowałem, przeto zdradzam tajemnicę i przyznaję się, że głos mój padł na dra Nartowskiego. Podejrzywanie mnie, żem głosował na „czcigodnego“ handlarza starzyzny p. Arona Gajera, jest całkiem nieuzasadnione, a to z tej przyczyny, że nie znam bliżej jego zapatrywań politycznych i że miałem poważną wątpliwość, czy kandydat ów w razie wyboru zgodziłby się wejść do Koła polskiego. Za drem Nartowskim przemawiało to, że jak się dowiedziałem z plakatów, kandydaturę jego „spotkał ogólny entuzyazm“, a co więcej i co mnie głównie zdecydowało, też same plakaty głosiły, iż „wybór dra Nartowskiego będzie pierwszym krokiem do polepszenia przyszłości biednej naszej ojczyzny“. Musiałbym więc być człowiekiem pozbawionym zupełnie uczuć patryotycznych, gdybym nie chciał zrobić tego „pierwszego kroku“. Niestety, oprócz mnie tylko 387 wyborców usłuchało głosu biednej ojczyzny, a stąd niezrobiony został pierwszy krok do polepszenia jej przyszłości. Trzeba będzie rzecz zacząć na nowo.

Jeżeli jednak niektóre kandydatury spotkały się z „ogólnym entuzyazmem“, to były i takie, które wprost przeciwne uczucia wywoływały. Czytelnicy wiedzą co nieco o tem z plakatów i dzienników. Kto chce jednak lepiej się dowiedzieć, z jaką niechęcią witano pojawienie się niektórych kandydatów, ten musi przejrzeć przedewszystkiem pisma ludowe. Nie krępowały się one w wyrażeniach, po chłopsku były szczere. Więc opowiadając o zebraniu wyborców w Rozwadowie, pisze *Wieniec i Pszczółka:* „Ej, gotowało się, gotowało przyjęcie kandydatowi na ministra, durnemu Jasiowi (Stapińskiemu) — spryciarz jednak psim węchem zwąchał, co się święci i nie przyjechał“. W innem miejscu pytało się to samo pismo tego samego kandydata: „Mówisz Jasiu, że nie masz majątku — a kamienica? a kto ci dał na kąpiele morskie?“ Ba jest i wierszyk o Stapińskim, kończący się zwrotką: „W dobrobycie i zaszczytach żyje szelma taka, aż się w końcu ucho urwie i złapie kopniaka“. Dowiadujemy się dalej z tegoż pisma, że „kandydat Łyszczarz o mało nie dostał kilku głosów na plecy“, a Kubik „stary bluźnierca“, kiedy mu się „pomięszało w głowie i zaczął pleść głupstwa“, musiał zmykać tak, że mu błoto z pod nóg pryskało“. Ale jeszcze więcej dosadności znajdujemy w *Przyjacielu ludu* organie Stapińskiego. „Ekspośle Dobijo — tak np. *Przyjaciel* przemawia — chłopi wiedzą, żeś opój i chodząca propinacya“. A o pewnym kandydacie z inteligencyi tak się *Przyjaciel* wyraża: „Czy ten człowiek zwaryował czy co, że myśli, że my tacy głupcy, abyśmy takiemu leniowi i próżniakowi głosy oddali?“ Co do kandydata Fidlera *Przyjaciel* zapewnia, że „dyabeł będzie kościami jego rzucać“.

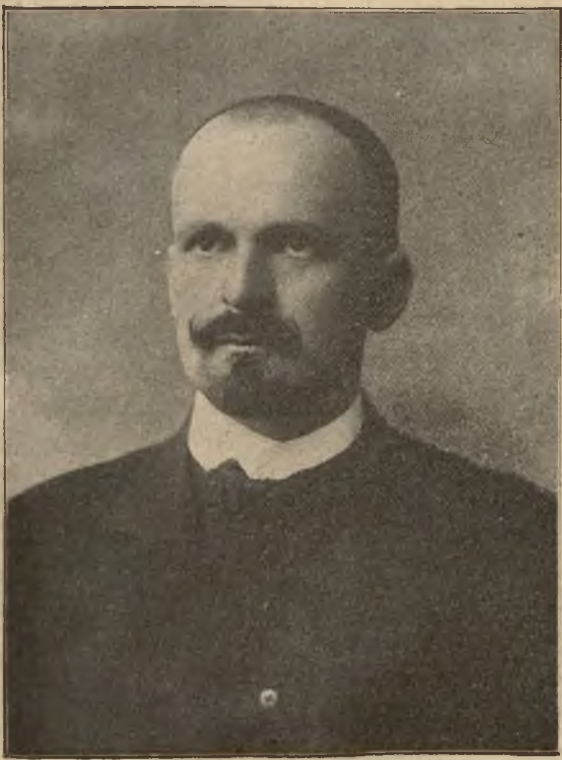
Ale prócz tych mniej delikatnych próbek stylowych, literatura wyborcza przyniosła nam i pełne pięknej barwy kwiaty stylowe. Czasem z plakatów zdał się do ciebie przemawiać jeżeli nie Skarga lub Mickiewicz, to przynajmniej Stanisław Tarnowski. Bo i któż inny jak nie Tarnowski mógłby pisać, że pewien demokratyczny kandydat jest „w polityce od lat 20 działający, w stałości zasad wypróbowany, w bezinteresowności swojej służby publicznej pewny, w robocie parlamentarnej nie nowy, ale pracownik w niej znany i chętny, zapału pełen a wytrawny“. Przypuszczam, że autor plakatu przepisał żywcem ustęp z jakiegoś toastu pióra J. E. Stanisława Tarnowskiego.

Kraków uspokoił się już po wyborze Daszyńskiego, ale nie uspokoił się z powodu kandydatury dra Doboszyńskiego. Zarzuty, jakie przeciw niemu skierowano, ma rozpatrzeć przyszłe Koło polskie — wobec tego kronikarz zajmować się nimi nie będzie. Musi jednak zwrócić uwagę na szczegół rażący i charakterystyczny. Sprawa, która wywołała zarzuty, toczyła się przed kilku laty, a nie dziś dopiero wyszła na wierzch. Wówczas powinna była opinia oświadczyć się przeciw drowi D. lub go uniewinnić. Tymczasem dra D. wybrano do rady miejskiej i nikt przeciw temu nie oponował, tymczasem dra D. wybrano przedstawicielem Krakowa na kongres Polaków w Ameryce i nikt się temu nie sprzeciwił, tymczasem Towarzystwo dziennikarzy wysłało go jako reprezentanta na kongres międzynarodowy dziennikarzy a nikomu to nieszkodziło, ba! kiedy do Pragi zwołano zjazd słowiański, który miał zająć się kwestyą polską, a z małym wyjątkiem powszechnie sądzono, że nowa era rozpocznie się dla naszego narodu, w liczbie kilku przedstawicieli Galicyi, wydelegowanych przez stronnictwa do rozpoczęcia tej nowej ery, znajdował się dr. Doboszyński. A i teraz opinia siedziałaby cicho, gdyby dr. D. nie miał kontrkandydata. Ten kontrkandydat należał do jednego z drem D. obozu, siedział obok niego na posiedzeniach sztabu stronnictwa, był z nim w najlepszej zgodzie, a dopiero wtedy przeciw niemu wystąpił, kiedy stanął z nim do walki o mandat. Stąd jeżeli przyjmiemy winę dra D. za udowodnioną, musimy stwierdzić, że popełnienie czynu brzydkiego dopóty u nas nikogo nie usuwa od życia publicznego, dopóty liczyć może na zupełną pobłażliwość opinii, dopóki autor tego czynu nie wejdzie w drogę jednostce. Czy to jest objaw zdrowy? czy tak być powinno? Opinia jest trybunałem moralnym społeczeństwa. Po spełnieniu czynu powinna wydać wyrok: potępić lub uniewinnić, pozbawić oskarżonego moralnych praw obywatelskich, lub mu je przyznać w całości. Sprawa dra D. przypomina anegdotkę o prawniku, który spytany przy egzaminie, jakby zmniejszył karę dożywotniego więzienia, odpowiedział: skróciłbym ją o pięć lat. „A to w jaki sposób?“ — zapytał z ironicznym uśmiechem egzaminator. „W bardzo prosty — odpowiedział egzaminowany — wypuściłbym skazanego na wolną stopę na lat pięć, a potem wsadziłbym go do więzienia“.

Od rzeczy smutno-śmiesznych przejdźmy do radośnie poważnych. Jedną taką tylko mam do zaznaczenia, jedną, ale starczącą za setki. Zaledwie minęło echo o licznych fundacyach i zapisach na cele publiczne w Królestwie, przybywa tam nowy dar milionowy. Jedna z mieszkanek Warszawy (nazwiska jej nie podają dzienniki) złożyła przeszło milion sześćkroć sto tysięcy koron na bibliotekę publiczną i na szkołę sztuk pięknych. Jestto w ciągu jednego półrocza czwarty czy piąty dar milionowy, obok kilku krociowych a kilkunastu wielotysięcznych. Co więcej, są to dary praktyczne, których użyteczność odrazu widzimy i których spaczenia nie obawiamy się. Bo niestety w naszem położeniu wiele zapisów, zwłaszcza stypendyalnych, nie odpowiada celowi. Często otrzymuje stypendya młodzież obca, a często na nie nie zasługująca. Co się zaś dzieje z fundacyami, które gdzieś kiedyś powstać mają, przekonaliśmy się świeżo na Rydzynie.

Drugim radosnym faktem, a raczej wstępem do faktu, jest powstanie a raczej nadzieja powstania komitetu ogólnego do spraw śląskich. Na licznem zebraniu w ubiegłą niedzielę, pod przewodnictwem K. Bartoszewicza, poraz pierwszy odezwały się publicznie głosy, że chcąc ratować Sląsk cieszyński nie dość zakładać szkoły, bo nietylko szkoła budzi uświadomienie narodowe. Trzeba działania w różnych kierunkach, tak jak to czynią Niemcy i Czesi. Oprócz komitetu ogólnego, ma powstać komitet specyalny dla założenia szkoły gospodarstwa dla kobiet śląskich, które, jak twierdzą znawcy stosunków, nietylko nie są pomocą w narodowej pracy, ale raczej przeszkodą. Wprawdzie będzie to znowu szkoła, ale odmienna, dająca możność bezpośredniego wpływu na te kobiety, o których obojętności narodowej nieprzychylna opinia jest tak niestety ustalona.

Również ustalona jest opinia o tych naszych radcach miejskich, co odrzucili wprowadzenie do formuły przyrzeczenia radzieckiego ustępu o „zachowaniu polskiego charakteru“ Krakowa. Gdyby mnie kto spytał, czy z takiego przyrzeczenia będzie jaka pociecha, uśmiechnąłbym się powątpiewająco, bo pp. radcy niezbyt już tego dotrzymują, co dotychczas przyrzekli, więc obarczać ich jeszcze jednym obowiązkiem jest rodzajem popychania kogoś na drogę grzechu. Ale lubo praktycznych skutków tej reformy dopatrzeć się nie mogę, to przecież skoro raz postawiono ów wniosek o charakterze, przejść nad nim do porządku dziennego nie było wolno. Tymczasem znalazła się opozycya (i miała ona nawet większość w komisyi), która wprawdzie wniosku *à limine* nie odrzuciła, ale chciała go przesłać komisyi statutowej, to jest wrzucić do kosza. Ale zanim mniejszość z większością wygadały się, rajcy wobec „niebezpieczeństwa“ zaczęli zmykać i zdekompletowano posiedzenie. Wskutek tego nowo wybrani radcy nie będą przyrzekali starań o zachowanie polskiego charakteru Krakowa i dopiero za trzy lata, jeżeli się komisya statutowa namyśli, przyrzeczenie to stałoby się obowiązującem. Powtarzam, że w praktyczny jego skutek nie wierzę, ale odrzucenie a raczej utrącenie, zeskamotowanie tak niewinnego frazesu najlepiej świadczy, jaki duch panuje wśród pewnej części naszych ojców miasta. Nietrudno sobie wobec tego wytłómaczyć ów werdykt Rady, uniewinniający bohaterów Rydzyny.



Wybory we Lwowie: Prof. dr. Józef Buzek, poseł okręgu VI.



Orkan w Tryeście: Widok wybrzeża nazajutrz po katastrofie.

Wybory we Lwowie.

Ogólna uwaga kół politycznych skupiła się w bieżącym tygodniu na stolicę kraju, śledząc z zaciekawieniem przebieg tamtejszych wyborów, których wynik w paru okręgach był wątpliwy, a wielce interesujący.

Przedewszystkiem chodziło o okręg II lwowski, w którym do walki przeciw dotychczasowemu posłowi, niezależnemu socyaliście Ernestowi Breiterowi, wystąpił b. poseł tarnowski dr. Roger Battaglia. Szanse zdawały się równe u obu kandydatów. Obaj ludzie młodzi, energiczni, umiejący za sobą agitować, obaj równie, choć w odmiennych kołach popularni, walka więc była namiętna i zaciekła. Breiter wysuwał jako główny atut swą niezawisłość i liczył głównie na głosy szerokich mas, dr. Battaglia walczył pod hasłem solidarności Koła poskiego i musiał niem zjednać wyborców politycznie wyrobionych.

Ponieważ zaś obaj kandydaci zorganizowali zastępy agitatorów, przewidywano, iż może przyjść w tym okręgu do burzliwych zajść. Skutkiem tego poczyniły władze szereg zarządzeń, które miały na celu z jednej strony zapewnić wszystkim wyborcom swobodę głosu, z drugiej zapobiec jakimkolwiek awanturom.

Zarządzenia te okazały się bardzo skuteczne, gdyż istotnie dzięki temu, mimo ogromnego roznamiętnienia i napięcia, wydarzyły się tam tylko zajścia drobnej natury, uniknięto zaś wszelkich krwawych zatargów.

Głosowanie odbywało się w trzech lokalach, mianowicie w gmachu przy ul. Trzeciego Maja, w restauracyi w ogrodzie pojezuickim i w baraku przy ul. św. Teresy. Najspokojniej było w ogrodzie pojezuickim, natomiast dwa inne lokale musiało otoczyć wojsko, aby odeprzeć nacierające tłumy i utrzymać spokój i porządek. Całą ulicą Trzeciego Maja zamknięto kordonami kawaleryi i dopuszczano tylko wyborców.

Także po zamknięciu głosowania tłumy wyborców i niewyborców z tego okręgu zgromadziły się w pobliżu ulicy Trzeciego Maja, chcąc jaknajrychlej dowiedzieć się o wyniku wyboru. Dla Koła Polskiego okazał się ten wynik niepomyślnym, gdyż większością 400 głosów wybrany został Ernest Breiter, co zwolennicy jego powitali z wielką radością.

Bardzo żywy ruch panował również w okręgu III., gdzie stanęli do walki o mandat socyalista dr. Diamand i syonista Stand. Tam również lokale wyborcze otoczone były wojskiem, gdyż obawiano się rozruchów. Na szczęście skończyło się na drobnych utarczkach. Wybrany został znaczną większością dr. Diamand.

Z innych okręgów lwowskich interesujący był wynik wyboru w okręgu V., gdzie upadł dotychczasowy poseł tego okręgu, demokrata narodowy dr. Tomaszewski przeciw postępowemu demokracie drowi Lisiewiczowi i w okręgu I., gdzie upadł dotychczasowy poseł prof. dr. Roszkowski, a do ściślejszych wyborów przeszli architekt Sliwiński (demokrata postępowy) i prof. dr. Rydygier (katol. narod.). W okręgach IV. VI. i VII. przeszli dotychczasowi posłowie: minister dr. Głąbiński, prof. dr. Buzek i socyalista Hudec.



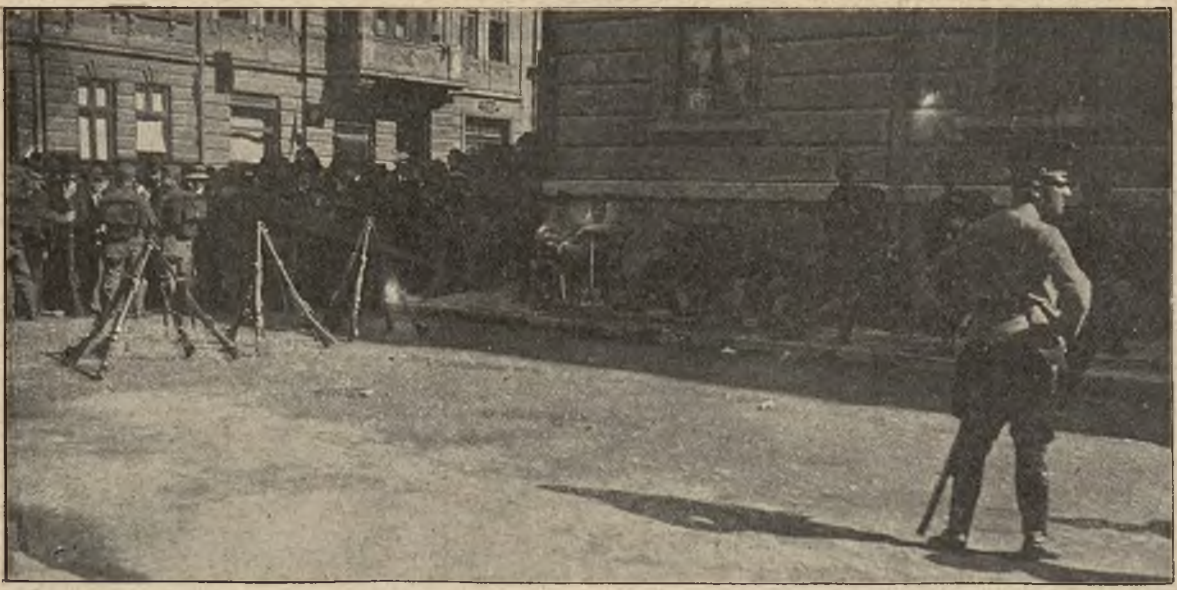
Wybory we Lwowie: Dr. Herman Diamand, poseł okręgu III.



Wybory we Lwowie: Tłum wyborców przed ul. Trzeciego Maja.



Wybory we Lwowie: Józef Hudec, poseł okręgu VII.



Wybory we Lwowie: Oddział piechoty w pogotowiu.

Stan posiadania Koła polskiego z miasta Lwowa nie zmienił się wobec tego po ostatnich wyborach. Cztery mandaty, które były w ręku członków Koła, utrzymano nadal, trzy zaś zdobyli ci sami posłowie z poza Koła, którzy je w poprzedniej kadencyi dzierżyli.

Zdaje się też, że wogóle stan posiadania stronnictw większych nie zmieni się w Galicyi znacznie. Pocieszającym natomiast objawem jest zupełne zniknięcie posłów sycńskich z widowni parlamentarnej; utracą też część mandatów starorusini.

Koło polskie wyjdzie z wyborów ilościowo, zdaje się niezmienione, jakościowo natomiast wzmocni się bardzo poważnie. Już dziś liczy ono szereg osobistości bardzo poważnych, znanych z wysokiej wiedzy, bezinteresowności a wielkiej ochoty do pracy publicznej. osobistości, których w ubiegłej kadencyi w Kole nie było, a które zajęły miejsca nieużytków lub — co gorsza — ludzi wątpliwej wartości moralnej.

Szereg zdjęć z interesujących wyborów lwowskich wraz z portretami wybranych posłów zamieszczamy w dzisiejszym numerze.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 23.

Logogryf:

H
B e m
J a n e k
W i e r s z e
A m e r y k a n y
D z i k a k a c z k a
R ó ż a i N i n a
L i z b o n a
J a s n y
R e n
n

Zadanie do przestawienia: Na bezrybiu i rak ryba

Łamigłówka:

Coś
sto
gaz
mnł
oko
rów
ara
zet
osa
bór
oka
gnz
ule
rym

Kwadrat magiczny:

H a j o t a
A d e p c i
J u n o n a
O d e s s a
T a m i z a
A r a r a t

Zadanie konikowe:

Potem różę w włosy wepnie
Potem coś mi w ucho szepnie,
Co się ludziom nie powiada,
Bo to zdrada! bo to zdrada!

Nic zdrożnego! Chowaj Boże
Cóż bo róża mówić może,
Gdy czarowną woń rozdziela...
Saltarella! Saltarella!

Krzyż magiczny:

W S J
e t e
z a n
W e z u w i u s z
S t a w i s z y n
J e n i s e j s k
u z j
s y s
z n k

Szarada: Salezy.

Rozsypane litery: Roska oświata to nóż na brata

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: F. Gebhardt Kraków, M. Planecka Kraków, J. Czarkowski Stryj, K. Armatys Kołomyja, K. Radoszewski Mielec, J. Ryś Rzeszów, W. Ossowski Warszawa, A. Biliński Tarnopol, K. Darowski Piotrków. M. Kalinowska Lublin, O. Górkowa Chyrów, S. Kaniewski Tarnobrzeg, J. Leszczyński Sanok, W. Thun Radom, M. Potocka Kraków, K. Wilczkiewicz Sandomierz, W. Radwański Warszawa, D. Sedyńska Kraków, J. Łopatkiewicz Jasło, M. Pick Łódź, W. Kaliszewski Petersburg, M. Ciesielski Poznań, K. Lisowski Kołomyja, S. Bukowski Kijów, H. Maciejowska Sanok, I. Brzostowski Krosno, M. Wojkowski Tarnopol, K. Cegielski Jasło, M. Wacławowicz Sanok, S Ostrowski Tarnów, J. Kopczyńska Bierzanów, R. Knapik Tarnopol, M. Więckowska Warszawa, J. Michalski Jaworów, J. Czernecki Złoczów, K. Schmidt Lwów, W. Laurecki Lwów, J. Lemiszewski Stanisławów, S. Kowalówka Kraków, K. Kaim Kraków, H. Rosenbaum Mielec, K. Armatowicz Petersburg, K. Gliński Kołomyja, S. Hubaczek Tarnopol, M. Kruszelnicka Tarnów, M. Klappholz Rzeszów, K. Ciszewski Radomyśl, J. Jakubowska Tarnów, T. Mazaraki Radom, J. Trepka Sandomierz, K. Zerygiewicz Stanisławów, J. Wyka Rzeszów, W. Lipowski Jasło, H. Gromnicka Lwów, K. Zachara Mielec, J. Trojacki Wiedeń, K. Sapecki Poznań, M. Karaś Zakopane, W. Urban Lwów, F. Jeziorski Oświęcim, S. Krzyżanowski Podgórze, F. Horak Lwów, T. Nikiel Wiedeń, W. Świrski Sandomierz, M. Bałuk Krosno, J. Jahoda Cieszyn, J. Kwaśniewski Przemyśl, F. Piątek Podwołoczyska, J. Piasecki Złoczów, R. Bandrowski Częstochowa, K. Broda Drohobycz, A. Serwatowska Warszawa, J. Przeworski Toruń, J. Łopatyński Lwów, H. Zielińska Rzeszów, W. Dziedzic Kraków, A. Augustynowicz Kraków, B. Michalec Kraków, M. Sontag Piotrków, K. Sadowska Kraków, M. Malinowska Winnica, J. Czechowicz Tarnów, D. Krasowski Poznań, S. Karwowski Cieszyn, J. Bernstein Warszawa, W Hołubasz Stanisławów, K. Łapiński Kraków, R. Dąbrowski Janów, M. Gruszczyńska Sambor, W. Obraczay Cieszyn, J. Stępień Budapeszt, J. Antosz Kołomyja, W. Włodek Warszawa, K. Wojciechowski Sambor, M. Kisielewska Janów, H. Bielawska Kraków, S. Dzierzyński Zakopane, M. Zięba Sanok, J. Popiel Rzeszów, K. Fuchs Czeremchów, Z. Wodziński Kraków, F. Frankowicz Zakopane, M. Arbesbauer Lwów, K. Karpiński Gorlice.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. **M. Malinowska, Winnica.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Z półek księgarskich.

Macierz Polska wydała jako numer 98. swej Biblioteki książeczkę p. t. **Ku czci Królowej Jadwigi.** Złożyły się na nią dwa obrazki sceniczne. Autorką pierwszego p. t. „Królowa Jadwiga" jest Barbara Żulińska, drugiego p. t. „Opiekunka sierót" — Julia Jaworska. Całość liczy stron 78. Cena 40 hal.

Z Zukerkandla Wydawnictwa austryackich ustaw państwowych i krajowych pojawiły się następujące tomiki:

Tom XV. **Ustawa łowiecka** z dnia 13 lipca 1909 (Dz. ust. kraj. z 10 stycznia 1910 Nr. 2. część II.) dla Królestwa Galicyi i Lodomeryi z W. Ks. Krakowskiem. Z rozporządzeniami późniejszemi, objaśnieniami, skorowidzem i wzorami odnośnych druków.

Tom XXVII. **Ustawa prasowa** z 17 grudnia 1862. Nr 6. Dz. ust. państw. za r. 1863 z wszystkiemi odnoszącemi się do niej ustawami i rozporządzeniami i ustawą o prawie autorskiem na dziełach literatury, sztuki i fotografii z dnia 26 grudnia 1895. Nr. 197. Dz. ust. państw. z odnoszącemi się do niej rozporządzeniami wykonawczemi, przełożone i objaśnione na zasadzie orzeczeń Sądu najwyższego i motywów ustawowych przez dra. Ignacego Suessera.

Tom XXVIII **Ustawa z dnia 21 lipca 1908. dotycząca zasiłku na utrzymanie dla rodzin żołnierzy,** którzy stawili się do ćwiczeń wojskowych (służbowych), względnie celem odebraniu wykształcenia wojskowego.

Biblioteczka dla dzieci i młodzieży ku rozrywce i nauce, wydawana nakładem i drukiem księgarni Wilhelma Zukerkandla w Złoczowie:

Ks. 42. Józefa Januszówna: **Święty Mikołaj.** Obrazek sceniczny w dwu odsłonach

Ks. 43. Wisława: **Perełki.** Dziesięć powiastek dla dzieci.

Przewodnik oświatowy. Dwutygodnik T S L poświęcony sprawie obrony kresów i narodowego wychowania ludu polskiego. Kraków. Rok XI.

Nr. 2. z 15 maja 1911. zawiera: T. S. L. wobec wyborów. — Bratnia robota kresowa a piosnka słowiańska. — Szkoła T. S. L. w Przywozie na Morawach. — Dom polski T. S. L. w Tarnopolu. — Dwa sejmiki oświatowe na kresach wschodnich. — Ludność polska w Białej. — Niemieckie niebezpieczeństwo w powiecie Stanisławowskim. — Polacy w Bośni. — Z zaboru pruskiego. — Z kroniki zmarłych.

Prenumerata roczna w Austryi wynosi 2 K. Adres redakcyi i administracyi: Kraków. Floryańska 15

Zielniczek lekarski czyli abecadłowy spis chorób z podaniem odpowiednich środków przeważnie roślinnych Wydanie III-cie dopełnione. Nakład „Przewodnika Zdrowia" (Czarnowski, Berlin Weissenburgerstrasse 27). Cena z przesyłką: 60 fen., 70 hal., 30 kop.

Ileż to ziół leczniczych ginie rok rocznie bezużytecznie, gdyż ich albo wcale nie znamy, albo też nikt nas nie pouczył o ich sile leczniczej. Niniejsza książeczka ma na celu obeznanie szerszej publiczności z ziołami lekarskimi.

Treściwe dziełko zawiera mnóstwo bardzo praktycznie uporządkowanych wiadomości przeważnie o naszych ziołach krajowych, zasługujących na szczególniejszą uwagę także naszych rolników. Prawie na każdą chorobę oprócz środków ze świata roślinnego są tu podane jeszcze sposoby i zabiegi lecznictwa przyrodniczego. Na końcu zaś mamy wyjawione recepty mieszanek herbacianych przeciw najważniejszym cierpieniom. Ta sama książeczka wydaną została także z 12 kolorowemi tablicami (1,60 M). Ze względu na jego pożyteczność i praktyczność dziełko to przetłómaczono na niemiecki język, a znalazło taki pokup, iż obecnie przysposabia się już IV wydanie.

Krem do zębów
KALODONT
Woda do ust.

Między profesorami.

— Tak! Tak! Moi panowie! Mickiewicz był co prawda, wielkim poetą, miał jednak dość czasu i na pracę umysłową, której się oddawał...



NAJLEPSZE
LAKIERY i EMALIE
FIRMY
L. BARANOWSKI
W KRAKOWIE.
Wszędzie do nabycia.



Nigdy nie trzeba używać równocześnie dwóch różnych preparatów, celem pielęgnowania cery, gdyż odnośne składniki bardzo często się nie znoszą, w następstwie czego złe skutki sprowadzić mogą.
To samo odnosi się do wyboru pudru, ponieważ nie każdy z **Cremem Simona** harmonizuje, dlatego godnem polecenia jest używać do **Cremu Simona** także zawsze tylko **Pudru Simona** z fiołkowym lub heliotropowym zapachem. 1

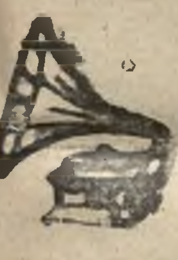
Roczniki z 1910 r.
„Nowości Illustrowanych“
są jeszcze w niewielkiej ilości do nabycia
w Administracyi tegoż pisma
w Krakowie, XV., ulica Nowowiejska L. 83
Przesyłka za poprzedniem nadesłan. K 16.

Kapsułki laricynowe
Dra Kleina
(urzęd. ochr.) leczy w 5 dniach (rzeżączkę) i każdą zaraźliwą **męzką i kobiecą chorobę**; dla żołądka zupełnie nieszkodliwe. Przyjemniejsze i praktyczniejsze jak podobne środki zagraniczne (Santal, Santyl, Gonorol, Gonossan etc.) Skutki zadziwiające. Pierwszorzędne fachowe świadectwa.
Duże pudełko **K 2·50**. Wysyłka pod dyskrecyą tylko za zaliczką. Fabrykacya jun. **Illés'a**, aptekarza, Szabadka. Główny skład i wyrób własny
Jfj. **Jllés Antal**, Aptekarz w Szabadka, Węgry,



Do Ameryki i Kanady
przeprawia najlepiej
Linia Kunard we Lwowie, ul. Gródecka **99.**

Cena przeprawy okrętem 170 Koron. — Uważajcie na Nr. 99.
Odjazd z portu **w Tryeście: Carpathia**: dnia 4 lipca 1911, **Saxonia**: dnia 23 lipca 1911, **Pannonia**: d. 8 sierpnia 1911.
Z Liwerpolu: Lusitania: (największy i najwspanialszy parowiec świata) dnia 8 7, 29 7, 19 8, 9 9, 7 10 1911.
Maurytania: dnia 22 7, 12|8, 2 9, 23 9 1911.



Otrzymałeś Pan już **kiedy fonograf za darmo?**
Ażeby moje znakomite, najnowsze, ze złotej-twardej masy walce wprowadzić, postanowiłem
2500 fonografów rozdać za darmo.
Z dołączeniem marki 10 halerzowej, zażądaj Pan mojego prospektu, a może Pan otrzymać za darmo i oclony **wspaniały koncertowy gramofon.**
Import fonografów, Löwin, Wiedeń VI/2
Gumpendorferstrasse 111.

8 dni na próbę!
Nie kupujcie zegarków bez wypróbowania.
Wysyłam każdemu za zamówieniem prawdziwy 14-kar. złoty-plaque-męzki zegarek z podwójnym płaszczem za cenę **Kor. 20.**
Przy zamówieniu płaci się tylko połowę, a po czasie próby resztę, — Gwarancya 3-letnia.
Zamówienia przyjmuje
Joh. Weiner, Wiedeń XIX/1
Boschstr. 2/7.



Wysprzedaż resztek!
Przy naszej codziennej masowej wysyłce, mamy w bieżącym sezonie nazbieranych
setki resztek
z najnowszych modnych materyi na ubrania dla Panów, Pań i na ubranka dziecinne, które po **bajecznie niskich cenach, za bezcen** wysprzedajemy.
Prosimy **wykorzystać tą najlepszą sposobność kupna** i zażądać **naszej kolekcyi wzorów resztek.**
Pierwszy śląski fabr. skład wysyłk. sukna **„SUDETIA“ Jägerndorf** (Sląsk austr.)

Tylko za 6 K wysyłam $4^1/_2$ kilo zawierających 56 sztuk dobrych, łagodnych, przy prasowaniu lekko uszkodzonych
Mydeł toaletowych
ładnie sortowanych o zapachu różanym, konwaliowym, piżma, paczuli itd. Rzadko korzystna sposobność kupna dla odsprzedawców, zakładów kąpielowych, pensyonatów, hoteli i dla każdego domowego gospodarstwa. Rozsyłka za nadesłaniem poprzedniem należytości lub za zaliczką (70 hal. więcej). przez **D. Vajda**, pierwsza górnowęgierska fabryka mydeł toaletowych, Vag-Ujhely Nr 915.

Dla Panów
Artykuły Hygieniczne gumowe i rybie 12 sztuk sort. I jakości pod gwarancyą Kor. 3·— i 4·—
Przy odbiorze 3 tuzinów daję flakon perfum w dowolnym zapachu **gratis.** Wysyłki odwrotną pocztą, uskuteczniа.
L. Korzeniowski, Kraków, ul. Floryańska L. 22.

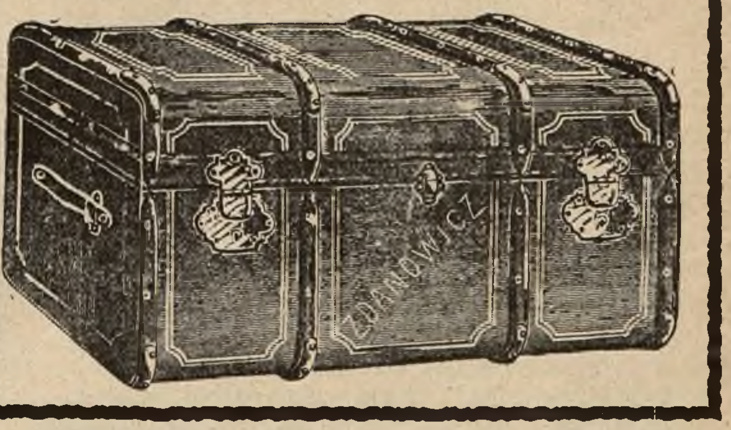
Paryskie wyroby gumowe
„Olla“ „Neveripp“ „Ramses“
polecają najtaniej
Sporn i Ska, Kraków
Floryańska L. 14.

NAJLEPSZA CZEKOLADA
Z FABRYKI
ADAMA PIASECKIEGO, KRAKÓW
UL. DŁUGA L. 12.- FLORYAŃSKA 2.
PROSZĘ ŻĄDAĆ WSZĘDZIE

Pneumatyczne osadki do górnych lub dolnych sztucznych zębów „Dentsfixes“.
Chronią od bolesnego nacisku i utrwalają znakomicie nawet przy zaniku dziąseł i zupełnym braku własnych zębów. 30 sztuk listem polecenym 3 kor. 46 h do nabycia:
W Krakowie: w droguryi Jana Linka, Sławkowska L. 1.
We Lwowie: w aptece Dra Piotra Mikolascha,
W Sanoku: w aptece Piotra Wąsowicza.
W Ustrzykach: w apt. dzierż. Tadeusza Frankowskiego.



ZDZISŁAW ZDANOWICZ
Kraków, ul. Sławkowska L. 3 (Hotel Saski)
Telefon 516.
Magazyn galanteryjny.
Skład bielizny, kapeluszy, obuwia i przyborów do podróży.



Pierwszorzędna Cukiernia J. Noworolskiego i Ski
w Krakowie w Sukiennicach
przedtem Rehman i Hendrich.

Po gruntownem przerobieniu i powiększeniu lokalu w stylu nowoczesnym **została otwartą** dla P. T. Publiczności.
TOWAR DOBOROWY.

PERFUMY, MYDŁA, PUDRY
Kremy do konserwowania i upiększania rąk i twarzy.
Aparaty kosmetyczne do masowania.

Krem i Otrąbki. Abarid do zmywania twarzy.
Krem angielski Dra Orgleya przeciw opaleniu.
Boroxyl przeciw piegom.
Tarool przeciw wypadaniu włosów.
Schampoo-Tarool do mycia głowy i przeciw łupieżowi.

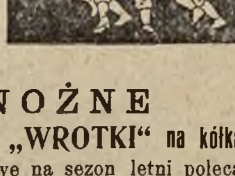


Przybory toaletowe.
Szczotki, grzebienie, lustra.
Rurki do włosów.
Gąbki toaletowe.
Wanny i miednice gumowe.
Perolina i rozpylacze do desinfekcyi powietrza.

LAWN-TENNIS



Rakiety, piłki, prasy.



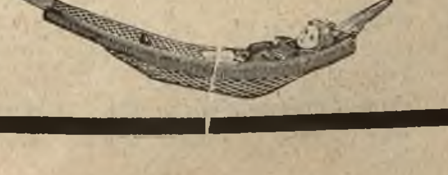
PIŁKI NOŻNE
Największy wybór ameryk. łyżew „WROTKI“ na kółkach oraz wszelkie artykuły sportowe na sezon letni polecają
Reim i Ska, Kraków
Rynek 37, Linia A-B.

Przybory do podróży.
Flaszki podróżne, kubki papierowe, gumowe, metalowe składane.
Necesery i torby dla turystów.
Poduszki do wydym...
Przybory rybołowcze.
Artykuły kąpielowe.
Przyrządy gimnastyczne i ogrodowe.
Sandały hygieniczne, obuwie letnie.





Hamaki ogrodowe.



Ze świata kobiecego.

Toaleta strojna.

Coraz mniej spotyka się w opisach mód określeń: toaleta obiadowa, wieczorowa, wyścigowa, natomiast przyjęło się określenie ogólne: toaleta strojna. W tem uogólnieniu mieści się wskazówka, że dzisiejsza moda, choć wymaga toalet bogatych, dozwala, aby ich było mniej niż dawniej. Suknia jedwabna z pougé, liberty, czy etaminy, batystu jedwabnego czy grenadiny równie może służyć do wzięcia udziału w ślubie w rannych godzinach, na wystawnym obiedzie, na raucie, czy na tak zwanej „tańcującej herbatce“. Elegantka rozsądna nie będzie ubiegała się o to, aby coraz nową toaletą przyprawiać o rozpacz męża a o zazdrość przyjaciółki, natomiast sprawiając ją, obmyśli tak, żeby mogła jej służyć w każdej wystawnej okoliczności; postara się, aby nie była zbyt ekscentryczna, przeto łatwa do „opatrzenia się“, w samą miarę strojna a przedewszystkiem dostosowana barwą i formą do kibici i twarzy właścicielki, a z pewnością, choć w ciągu jednego sezonu brać ją będzie na wszelkie uroczystości, każdy zatrzyma na niej oko z przyjemnością i uznaniem. Przytem, jak już wspominałam w poprzednich pogadankach, dzisiejsza moda bardziej, niż którakolwiek, ułatwia mo-



Kapelusz przybrany piórami.

żliwość przeróbek. Przedewszystkiem koronki ułatwiają niezmiernie tak nadanie toalecie charakteru strojnego, jak przerobienie sukni niemodnej. Koronki używane są dzisiaj w najrozmaitszych gatunkach i zastosowaniach — gipiury, walencieny, koronki irlandzkie i *chantilly*. Szerokie wstawki u dołu spódnicy, wąskie wstawki wzdłuż szwów, tuniki koronkowe i bolera, kołnierze na żakiecikach i u przejrzystych bluzek. Piękne to jest, gdyż nic może w takim stopniu, jak koronka, nie podnosi wdzięku kobiecego. Koronka może jedyna wśród przesuwających się ciągle szczegółów mody pozostanie, że tak powiem, epokową. Zgadując to, rząd francuski stara się wskrzesić dawniejszy przemysł koronkarski i to nie przez zakładanie fabryk na wielką skalę, ale przez podtrzymywanie wyrobów koronkowych, uprawianych jeszcze w Bretanii i Normandyi. Kobiety tamtejsze, zachęcone dobremi cenami i łatwością zbytu, bądź przypominają sobie sztukę koronkarską, bądź przyuczają się przy uzdolnionych w niej towarzyszkach.

Ujednostajnienie toalety na wszelkie większe występy daje możność kontentowania się jednym kapeluszem strojnym. Olbrzymia różnorodność fasonów i barw daje możność łatwego przystosowania go do sukni. W zasadniczym jednak fasonie są one stale kontrastowe; albo olbrzymie pastery z tengali, powyginane w najfantastyczniejszy sposób albo maleńkie *pierotki* i *niniche*, otulające włosy i osuwające się aż na uszy. W piórach także zaprowadzono coś nowego. Obok *pleureuses*, które zawsze dla swej wytworności noszone będą, wprowadza moda puszyste liście, osadzone na sztywnych i prostych pręcikach. Takie puszyste pióropusze, spotykane w najcudniejszych barwach, leciuchną kaskadą pokrywają cały kapelusz, a umieszczane bywają zazwyczaj od tyłu. Elegantki paryskie zaczynają też nosić kapelusze z *crêpe de chine* białej, różowej, lub ponsowej, niewiększe jak dżokejka, ułożone w kształcie róży w rozkwicie; sztuczne te płatki nie są grubsze od naturalnych. Naśladowane bywają też płatki z mory koloru *ivoire* lub berbacianej.

Przy dzisiejszych niezmiernie krótkich sukniach, nadzwyczaj doniosłą rzeczą jest piękny i kształtny



Toaleta strojna, zdobna w tunikę koronkową.

bucik. Ponieważ charakter sukien dzisiejszych jest przeważnie *directoire*, więc buciki też przypominają nóżki dam z końca XVIII i początków XIX wieku; wysoki obcas, kokarda przytrzymana klamrą lub klamra sama na wysokiem podbiciu nadają obuwiu charakter wybitny i wymagają niezmiernie zgrabnego kształtu nogi. Ale wiadomo, że dobry szewc potrafi uczynić piękną nogę, nawet z natury niekształtną. Niech się też nie zdaje naszym paniom, że na to potrzebują sprowadzać buciki z Wiednia albo Warszawy. Przesąd; w Krakowie już od szeregu lat możemy dostać obuwia niczem nie ustępującego w kształcie i gatunku najwykwintniejszym zagranicznym. Tylko gdy idzie o obuwie, bardziej niż w czemkolwiek nie wolno nam być oszczędnemi. Która z pań kupi buciki w magazynie Kapery na Sławkowskiej albo u nauczyciela kursów szewskich Weyerta z ulicy św. Tomasza, ta z pewnością bez żenady wysunie nóżkę, nawet wśród najwykwintniejszych elegantek.

Drugim warunkiem elegancyi jest rękawiczka. Dochodzą one również do maximum w doskonałości wyrobu i fasonu. Stowarzyszenie rękawiczników angielskich ofiarowało królowej Maryi na uroczystość koronacyjną parę rękawiczek z cieniutkiego *chevreau*, ozdobne u góry, na ramieniu złotem wyszyciem, na które składa się róża Anglii, oset Szkocyi i koniczyna Irlandyi. Na ręku wyszyte są korona i inicyały królewskie. Rękawiczki te, posłużywszy raz jeden, przejdą, rzecz naturalna, do archiwów.

Wreszcie prawdziwa elegantka paryska ma zawsze kwiat przy sukni. Zeszłego roku przyjęło się przypinanie kwiatów sztucznych. Danie pierwszeństwa kwiatowi martwemu, uperfumowanemu sztucznie,



Kapelusz przybrany kwiatami.

mogło mieć źródło w obrzydłym snobizmie. „Kwiatek świeży przypnie sobie każda sługa, wyrobnica, lub żniwiarka — powiadały różne panie i panny Dulskie — my musimy mieć kwiaty atłasowe i aksamitne“. Ale kwiaty atłasowe i aksamitne są w różnych cenach, stało się przeto, że na niedzielnych spacerach zaroiło się od niewiast strojnych w sztuczne kwiaty, których właścicielki miały jednak cechy robotnic fabrycznych, szwaczek i sklepowych. Zafrasowały się panie i panny Dulskie, a po długich debatach doszły do decyzyi, że wrócą do świeżych kwiatów, ale tak drogich, że nie będą mogły stać się udziałem ogółu. Kwiaciarnie zaczęły prześcigać się wzajemnie w produkowaniu kwiatów nadzwyczajnych, sztucznie hodowanych, zabarwianych w ziemi; sprzedają storczyki po 10 franków goździki po 5, róże fenomenalne po bajecznych cenach. Jedna z Paryżanek wyraziła się, że szanująca się elegantka nie przypnie do stanika wiązanki tańszej niż dziesięciofrankowa.

A ozdoba to służąca zaledwie na kilka godzin, a więc najdroższy dodatek toalety strojnej.

Ramo.

PARYSKIE GADY.

63

Panajon zdumiony przypatrywał im się po kolei.

— Chyba panowie nie dostali górskiej choroby?

— Chyba — odrzekł miliarder. — A jednak wygląda to...

— Przecież jesteśmy dopiero najwyżej na jakie dwieście metrów nad poziomem morza!

Lewis Jackson nic już nie odpowiadał, tylko siadł na kamieniu.

Smith i Piotr oparli się w milczeniu o skałę. Walczyli całą siłą woli przeciw tajemniczej słabości, zawrotom głowy, jakich doznawali, lecz nogi ich były jak popodcinane i krople potu spływały im z czoła.

Panajon zaklął gwałtownie i zdjął z osła walizkę z prowiantem. Wyjął z niej butelkę rumu, odtłukł szyjkę i podszedł z nią do miliardera. Bussinessman wypił kilka łyków. Potem butelka przeszła do rąk dwóch drugich chorych.

Morales i [illegible], nie rozumiejąc nic, co się [illegible] szeroko rozwartemi oczami.

[illegible]z? [illegible] teraz?

[illegible] odpowiedział na to pytanie zło[illegible]łową. Piotr zacisnął [illegible]-boy rzucił słabym gło[illegible] najstraszniejszych swych przekleństw.

Panajona ogarnął lęk.

— Co to może być... Co panom jest?

Ewa w rozpaczy podnosiła ręce do góry.

— Ty przynajmniej nic nie czujesz? — zapytała Panajona.

— Nie!

— Czy jesteś tego pewny?

— Jakto pewny?... Krew mi płynie w żyłach i apetyt wzmaga się... podczas gdy panowie ci wyglądają jak upiory. Lecz do stu tysięcy dyabłów! co im może być?... Co to jest?

— Coś bardzo podobnego do otrucia... — rzekł miliarder flegmatycznie, lecz coraz słabszym głosem.

— Co? — powtórzył Panajon. — Otrucie?... A jednak to tak w istocie wygląda.

Wsunął rękę pod swą baskijską czapkę i podrapał się po głowie.

— Czyby Duret zdążył wsypać czego do kawy? — myślał głośno. — Ale jedliśmy śniadanie razem, kawa była nalewana z jednego naczynia... chleb krajany z jednego bochenka... Jednem słowem, jeżeli panowie zostali otruci przy śniadaniu, to i my musielibyśmy być także... Ty nic nie czujesz Ewo?

— Nic!

— To dziwne!

Złodziej zdziwiony i przygnębiony, nie wiedział, co czynić.

— Trzeba wracać do Hendaye! — postanowił wreszcie.

Kułaki króla stu dwudziestu koni zacisnęły się silniej.

Joe Smith, który sam już chciał pomścić się za oskarżenie, jakie rzucił na niego Duret, zaklął jeszcze gwałtowniej.

Lewis Jackson pozostał napozór spokojny.

— Ponieważ nie możecie ustać na nogach — mówił dalej złodziej — trzeba na dzisiaj skończyć z alpinizmem... Niema już po co leżeć na tej górze, pozbawionej wszelkich wygód... Trzeba zatrąbić do odwrotu! Usadowi się panów na tych kłapouchach...

I nie kończąc zdania, zaczął zdejmować z osłów walizy.

Potem z pomocą Hiszpanów wsadził każdego z swych towarzyszy na osła i mocno go do niego przywiązał.

Gdy już dał sygnał do odwrotu, Piotr Cartelegue, który leżał prawie na karku zwierzęcia, wyprostował się ostatnim wysiłkiem i pogroził kułakiem w stronę gór, zdradzając tym ruchem cały swój bezsilny gniew.

Lewis Jackson również się uniósł trochę i wstrzymał słabym swym głosem całą karawanę.

— Stać!

Potem zwrócił się do Panajona.

— Możemy wrócić bez pana... Niech pan weźmie jednego przewodnika i jednego osła i idzie dalej...

— A kto będzie czuwał nad panami? — zapytał złodziej.

— Nie potrzeba nami się opiekować... zwłaszcza, że nie jest pan lekarzem i nie ma pan apteki...

— Można w każdym razie podać panom od czasu do czasu po kieliszku rumu na pokrzepienie sił...

— Nie koniecznie pan musi to czynić... A przytem najlepszem dla nas pokrzepieniem będzie myśl, że ktoś nie spuszcza z oka Dureta.

Panajon stał niezdecydowany. Nie chciał opuszczać swych towarzyszy, którzy wyglądali tak, jakby mieli wkrótce pożegnać się ze światem.

Miliarder jednak powtórzył swym stanowczym tonem:

— Mówię panu, że wrócimy sami... Tak chcę...

Panajon skłonił się.

— A więc dobrze — rzekł. — Zostawiam panom Martineza a biorę Gonzala.

— Jak pan sobie życzy.

— Do widzenia wobec tego! Szczęśliwej drogi! Sapristi! Boli mnie to, że muszę was opuszczać w takim stanie... Martinez, proszę dobrze uważać... Jeżeli jaki osioł potknie się, pan będzie za to odpowiedzialny... Jeżeli panowie dojadą szczęśliwie, dostanie pan tysiąc franków napiwku...

— Niech senor będzie spokojny — odrzekł przewodnik. — Dojedziemy w całości.

— Do widzenia, drogie dziecko — rzekł Panajon, obejmując Ewę.

— Co? do widzenia? — odparła prasowaczka. — Co ty mi wyśpiewujesz?

— To ci wyśpiewuję, iż Bóg wie, kiedy się zobaczymy... i że od tej pory...

Młoda panna przerwała:

— Cóż ty myślisz, że ja cię puszczę samego z tym opryszkiem?... Nie licz na to! Nie chcę, by mi cię odstawiono otrutego, lub pokrajanego w kawałki... Dziękuję za tę przyjemność! Wolałabym już, byś poszedł na polowanie na tygrysy! Kto wie, na jaki nowy pomysł wpadnie ten stary zbrodniarz, jeżelibyś go dogonił? Już dosyć dał próbek swojej pomysłowości.

Ewa mówiła tak prędko i z takiem przejęciem, iż Panajonowi nie udało się wtrącić ani jednego słowa. Wreszcie zdołał odezwać się:

— Właśnie dla tych powodów nie chcę mieć cię z sobą... Żałowałem już, że cię wziąłem.

— Zrób sobie tę przyjemność i mów, co chcesz, ale ja cię nawet nie słucham... Pójdę za tobą z daleka, jeżeli nie mogę iść razem...

— Sacrebleu! Jeżeli sobie co uroisz, to już tego nie można ci wybić z głowy... Trudna z tobą rada!

Panajon niby gniewał się, lecz oczy miał wilgotne.

— Chodźmy wobec tego! — dodał.

— Wreszcie powiedziałeś mądre słowo!

— A schwyta go pan żywego? — zapytał jeszcze miliarder.

— Niech się pan nie boi... Nie uszkodzę jego skóry... Będzie ją pan mógł używać jako dywanu przed łóżkiem.

— A teraz każdy w swoją stronę — zakończył businessman — *Good bye!*

— *Good bye!* Proszę jechać ostrożnie!

— Dobrze, senor! *Anda!*

I trzy osły ze swymi jeźdźcami, poprzedzane przez przewodnika, ruszyły w powrotną drogę.

Panajon i Ewa, stojąc na rozmokłej ścieżce, patrzyli za nimi, kiwając głową. Potem zawrócili i poszli na południowy wschód. Złodziej szedł naprzód. On teraz uważał na ślady Dureta, zresztą zupełnie wyraźne. Ewa postępowała za nim. Za sobą miała osła z dwiema walizkami. Przewodnik zamykał cały pochód.

Obracali się od czasu do czasu, by widzieć małą karawanę chorych, która wkrótce zniknęła im z oczu, na zakręcie. Słońce wstało już wysoko i chociaż był to dopiero początek marca, silnie prażyło.

— Dyabelski kraj — rzekł złodziej, macając się po głowie. — Włosy me stały się zupełnie mokre pod tym biretem... trzeba było sobie kupić panamę...

— A Duret nie zatrzymuje się ani na chwilę — zauważyła Ewa.

— Nogi ma do pozazdroszczenia, zwłaszcza jak na jego wiek!

— To on musiał otruć naszych towarzyszy!

— Z pewnością! Lecz jak to zrobił? Łamię sobie nad tem głowę i niczego nie mogę się domyślić!

— Cóż to za zbrodniarz! Przeraża mnie... Ach! boję się go!... Nigdy go nie widziałam, lecz gdy mówię o nim, wyobrażam sobie, że jest to ogromna, jadowita bestya... coś, jak skorpion wielkości dzikiej świni... albo jak stonoga tak duża, jak krokodyl...

— Swietną masz wyobraźnię, lecz nie wiele przynosi ci ona pożytku... Maksym Duret nie ma nic pokrewnego z zoologią... Twarz jego i cała postawa przypomina poważnego, starszego wiekiem wyższego urzędnika...

— To jeszcze straszniejsze!

W południe Panajon wydał rozkaz:

— *Stop!* Czas pomyśleć o żołądku.

Otworzył jedną walizkę, wiszącą na ośle i wyjął z niej zapasy spożywcze. Potem podszedł do drugiej, by wziąć z niej derkę, która miała służyć za dywan i za obrus.

— Sapristi! — zawołał. — Derki zostawiliśmy w jednej z waliz, które porzuciliśmy na drodze.

— A co jest w tej?

— Woda kolońska, chustki, szczotki, grzebień, dwa mydła i bielizna amerykańska...

— To wszystko?

— Wszystko!

— Oh!

Ewa sama przekonała się, że niema w niej nic więcej.

— Lepiej byłoby dla nas, gdybyśmy mniej mieli z sobą celuloidu, a więcej wełny — rzekł z zawiedzioną miną Panajon. — Możemy dziesięć razy na godzinę zmieniać kołnierzyki i mankiety, nie wiem jednak, czy ogrzeją nas one, jeżeli będziemy tę noc spędzać na otwartem powietrzu...

— Tak byliśmy wszyscy zatrwożeni — odezwała się prasowaczka — iż nie dziwię się, żeśmy zabrali z sobą właśnie tę zupełnie zbyteczną walizę.

— Rzeczywiście... Całe szczęście, że mamy z sobą te prowianty... Cóż robić! Siadajmy i tak!

Złodziej siadł po turecku na wilgotnej ziemi a Ewa poszła za jego przykładem.

Posiłek trwał krótko. Panajon, Ewa i Hiszpan zjadali po dwa kawałki naraz.

— Dalej! — rzekł złodziej — w drogę na walkę i zwycięstwo!

Pozamykali walizy i ruszyli naprzód.

Droga szła teraz zygzatowato, to wijąc się w górę, to spadając na dół, a ciągle między przepaściami dość znacznej głębokości.

Była już druga godzina i Panajon zamyślał o drugim przystanku, gdy nagle zatrzymał się na zakręcie góry z palcem wyciągniętym na dolinę, która się przed nimi roztwierała.

Jakiś człowiek zsuwał się z góry na dół.

— Duret! — rzekł jednocześnie Panajon i Ewa.

Uciekinier był na jakie czterysta metrów niżej od nich. Nie mógł więc ich słyszeć, zwłaszcza iż płynął koło niego huczący potok.

Lecz, jakby odczuwając na sobie wpływ magnetyczny ich wzroku, odwrócił się i podniósł do góry

głowę. Widać było, jak się zachwiał. Poznał złodzieja. Nachylił się zaraz naprzód, jakby chciał biec. Nie biegł jednak. Wlokąc się wolno, ruszył przed siebie. Był u stóp góry, na szczycie której stali ci, którzy go gonili. Ciężar własnego ciała nie pomagał mu teraz do ucieczki, jak poprzednio, gdy zsuwał się na dół. Musiał obecnie wspinać się znowu pod górę, a siły już go opuszczały. Tylko duma i strach pozwoliły mu zajść tak daleko.

Mimo to przeszedł po kolana w wodzie mały strumyk i posuwał się naprzód chwiejnym krokiem.

Panajon schodził z góry.

— Hallali! Hallali! — wołał radośnie. — Ach! czuję teraz jakąś dziką radość, tak, dziką!... ja, zawsze taki łagodny, który w czasie swej długiej karyery nie zrobiłem nikomu żadnej krzywdy... nawet ajentom, gdy mnie chwytali i gdy jednym ciosem mogłem się od nich uwolnić... Nie miałem jednak nigdy do czynienia z takim ptaszkiem... Duret nic oprócz zewnętrznego wyglądu niema w sobie ludzkiego... Hallali!

I okrzyk ten tym razem był tak głośny, iż prezes go usłyszał. Strach jego zamienił się w przerażenie. Ogarnęła go panika, jak dzikie zwierzęta podczas pożaru stepu. Nagle zaczął biec.

— Oho! — zawołał Panajon. — Nogi założył za pas i ucieka! Nic z tego! Będzie w naszych rękach!

I złodziej, by go prędzej dogonić, zaczął spuszczać się po pochyłości.

— Zaczekaj! — wołała Ewa. — Nie chcę, być się zbliżał do niego bezemnie!

I sama zaczęła się zsuwać na dół. Przewodnik poszedł w ich ślady. Tylko osioł nie spieszył się, stawiając wolno nogi.

— Poczekaj na mnie! — powtarzała piękna prasowaczka.

Jednocześnie z Panajonem znalazła się u stóp góry. O sto metrów przed nimi Maksym Duret wspinał się pod górę i znikał w gęstwinie kosodrzewu. By go dogonić, trzeba było przejść także przez strumyk, minąć starą lepiankę, która służyć musiała dawniej na schronisko pasterzy i ich stad i zagłębić się w kosodrzewinie, przez którą przedzierał się teraz z trudnością prezes. Panajon, nie zważając na nic, biegł przed siebie i mijał już opuszczoną lepiankę, gdy nagle padł bezwładnie na ziemię. Powalił go cios wymierzony z tyłu. Usłyszał jeszcze przeraźliwy krzyk Ewy i pociemniało mu w oczach.

XVII.

Gdy Panajon powrócił do przytomności, leżał na wilgotnej ziemi. Sznury krępowały mu nogi i ręce. Uniósł się trochę i na prawo koło siebie i ujrzał również skrępowaną Ewę, która patrzyła na niego rozpaczliwym wzrokiem. Na lewo przewodnik, klęcząc na ziemi, chłodził go chustką.

Wszyscy troje znajdowali się między czterema staremi ścianami, z których w jednej były spróchniałe drzwi. Resztki belek wskazywały, iż dawniej ściany te pokrywał dach.

— Ach! żyjesz! — zawołała Ewa.

I oczy jej suche i błyszczące zalały się teraz łzami.

— Żyjesz — powtórzyła głosem przerywanym i radością. — Ach! dziwię się teraz, że przez te kilka minut włosy mi nie posiwiały!

— Mówiłem pani, że to nic! — odezwał się przewodnik.

— Morderca! — zawołała piękna prasowaczka z bezwiednym wysiłkiem, by zerwać więzy, których siłę już wypróbowała. — Nędzniku!

Gonzalo podniósł się i schował chustkę do kieszeni.

Panajon oszołomiony jeszcze trochę, rozglądał się dokoła. Gdy wreszcie oprzytomniał zupełnie, domyślił się odrazu wszystkiego. Powstrzymał przekleństwo, które mu się do[…]wało na usta, opanował się i rzekł spokojnie:

— Gonzalo, jesteś pan głupi...

Hiszpan skłonił się z powagą i epitet ten zbył milczeniem jak i poprzednie złorzeczenia Ewy.

— Jest pan głupi — pawtórzył Panajon, opierając się na boku i patrząc obojętnie. — Zawiedzie się pan na swym handlu...

— Ja nie prowadziłem żadnego handlu — odpowiedział Gonzalo z uszanowaniem.

Nie miał on już swej wymowy hiszpańskiej i mówił czysto po francusku z ledwie dostrzegalnym akcentem angielskim.

— Owszem — zaprzeczył złodziej. — I dowiodę panu, że ten handel przyniesie panu stratę... Duret bowiem...

— Duret? — przerwał przewodnik.

— Człowiek, którego goniliśmy.

— Ach! On się nazywa Duret? Dobrze... Więc co?...

— Duret bowiem przekupił pana, a gdyby pan wydał go nam, otrzymałby za to ładną, okrągłą sumkę... Dureta zaś majątek jest bardzo mały i nie wiele mógł on panu dać...

— Nikt mnie nie przekupywał.

— Dlaczego pan w takim razie napadł na mnie zdradziecko i związał mnie jak serdelek, jak również i panią?

— By wziąć za pana okup.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożyła M. Sulima, Skawina.

Całość, to z wody morskiej się wytwarza,
Widzieć wśród burzy zwykle się je zdarza,
Czasem i okręt w głębinę zanurzy...
Lecz i na lądzie jest ich zastęp duży.
Jedne i drugie najczęściej nam szkodzą,
Te może więcej, co po ziemi chodzą.

Arytmogryf.

Ułożył C Dorożyński, Warszawa

Kwadraty i cyfry zastąpić w ten sposób literami, aby rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzył imię i nazwisko zmarłego niedawno powieściopisarza polskiego.

						□						
					1	□	2					
				1	4	□	5	6				
			7	8	9	□	8	2	8			
		10	11	9	7	□	12	2	13	11		
		1	8	11	9	□	4	8	7	8		
			14	8	12	□	13	15	12			
				8	17	□	16	5				
					15	□	8					
					17	□	18					
					8	□	15					
				19	12	□	20	15				
			11	10	4	□	13	21	8			
		22	10	2	11	□	21	23	10	4		
	22	15	2	9	2	□	5	8	21	5	8	
6	8	2	21	23	12	□	21	13	21	13	15	7

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Dopływ Wisły. 3. Miasto w Galicyi. 4. Rzeka w Azyi. 5. Wąż jadowity. 6. Kompozycya K. Goldmarka. 7. Poemat Syrokomli. 8 Nazwa wspólnych biesiad pierwszych chrześcijan. 9. Imię żeńskie. 10. Ciało lotne. 11. Piwo angielskie. 12. Rozporządzenie papieskie. 13. Przyrząd do zatrzymywania łodzi. 14. Powieść Cerwantesa. 15. Tajemne oskarżenie. 16. Utwór K. Ujejskiego.

Zadanie konikowe.

Ułożył S. Kowalówka, Kraków.

Litery połączyć w ten sposób według skoków konika, aby utworzyły znane polskie przysłowie.

		i		i	l	s	o
p		k	k	e	t		e
	y		k		w	p	a
	o	a	n	k		w	
w		ł		p		m	o
o		i	d		d		
	z		m		a		k
	d		e		i		

Szarada.

Ułożył W. Rapacz, Jaworzno.

— Konsyliarzu! Tak mię coś kusi!...
— W domu dobrodziej tak długo musi
Zostać, aż *całość* zupełnie zginie.
To moja *trzecia bez pierwszej głoski*
Z drugą!... Niech się pan dobrze owinie
I leży sobie w łóżku bez troski,
Bo *pierwsza z trzecią* bez pierwszej głoski
Paskudna, służyć panu nie może!
— Takie zmartwienie! Boże mój, Boże...
Ani bombeczki... *trzecia* w taroka...
Wolałbym solo napotkać smoka!
— Ech!... Sługa pana to *pierwsza-druga*
Czego pan zechce!... Od czegóż sługa?...

Logogryf.

Ułożył C. Dorożyński. Warszawa.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiednio literami. Głoski, wstawione w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko i przydomek znakomitego polskiego atlety.

—	□	—		
—	□	—		
—	□	—	—	
—	□	—	—	—
—	□	—	—	—
—	□	—	—	
—	□	—		
—	□	—	—	
—	□	—	—	—
—	□	—	—	—
—	□	—	—	
—	□	—		
—	□	—	—	
—	□	—	—	—
—	□	—	—	—
—	□	—	—	
—	□	—		
—	□	—		

Znaczenie wyrazów: 1. Wykrzyknik. 2. Jeden z dwunastu znaków zodyaku. 3. Przyrząd do szycia. 4. Miasto w Brazylii 5. Święty ogień Litwinów. 6. Wyraz twarzy. 7. Czapka, noszona na Wschodzie. 8. Forma jajowata. 9 Dawna stolica Rusi. 10. Dolina w Palestynie. 11. Znany gaz. 12. Rodzaj much 13. Rzeka w Hiszpanii. 14. Poeta angielski. 15. Rodzaj drzewa. 16 Przekaz na pieniądze. 17. Rodzaj łyżw. 18. Zwierzę domowe.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył S. Kowalówka, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane przysłowie:
Ozon, pas, es, g, j, ó, w, w.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Guy de Maupassant'a:* **Tajemnicza nieznajoma.**

REUMATYZM I PODAGRĘ

..ożna wyleczyć wszechświatowo znanym środkiem.

Kilka tysięcy osób zupełnie wyleczeni zostali dzięki temu środkowi.

Żądajcie środek ten w każdej aptece lub składzie aptecznym.

Każdy czytelnik tego wydania, cierpiący na reumatyzm lub podagrę, powinien po przeczytaniu niniejszego, niezwłocznie zaopatrzyć się tym cudownym środkiem, gdyż takowy pomaga i w tym wypadku gdzie wszelkie inne lekarstwa nie okazały nawet najmniejszej ulgi. Tysiące nieszczęśliwych, cierpiących na tak męczące choroby jak reumatyzm, podagra, scyatyka i ischias, dzięki temu środkowi powrócili do zupełnego zdrowia.

Ja chciałbym wyleczyć każdego cierpiącego na tę chorobę, gdyż ja sam przez dłuższy czas cierpiałem na jedną z tych najuporczywszych form reumatyzmu i podagry i żaden lekarz nie był w stanie mi pomódz; wszyscy lekarze uznali chorobę mą za nieuleczalną i osądzony zostałem męczyć się i cierpieć do końca mego życia. Będący już blizko rozpaczy, przyszedłem na pomysł chorobę tę studyować i zacząłem usilnie pracować z nadzieją samemu wynaleźć środek dla mego wyleczenia. Po upływie dłuższego czasu udało mi się wynaleźć zestawienie ziół, po którego użyciu uczułem znaczne polepszenie. Z wielką wytrwałością nadal używałem środek ten i po upływie krótkiego czasu, zdołałem oswobodzić się zupełnie od strasznych mych cierpień.

Od tego czasu postanowiłem zapoznać wszystkich cierpiących na tę chorobę z środkiem mym i pokazać im, że choroba ich **nie** jest niewyleczalną, równocześnie chcę wskazać wszystkim jakim sposobem mogą otrzymać dla siebie ten cudowny leczniczy środek. Z każdą pocztą otrzymuję listy dziękczynne, z których poniżej wybrane następujące.



Ruda Maleniecka, 2 Luty 1911 r.

Szanowny Panie Trayser!

Przepraszam WPana żem tak długo nie odpisał na list, który otrzymałem i za pamięć dziękuję. Po użyciu czterech pudełek Pańskiego środka „Trayser“ ból z ramienia ustąpił i czuję się zdrów. Liczę sobie za obowiązek, między znajomymi rozgłaszać o środku uleczalnym „Trayser“. Również niemam nic przeciw temu jeśli Sz. Pan list mój umieści na liście wyleczonych pacyentów przez środek „Trayser“.

Z poważaniem **H. Werner.**



Łódź, 12-go Kutego 1911 r.

Szanowny Panie Trayser!

Zwracam się do WPana i donoszę Mu, że preparat „Trayser“ otrzymałem i po użyciu takowego czuję się zacznie lepiej, spodziewam się, iż przy dalszem używaniu pastylek „Trayser“ wyleczę się całkowicie gdyż czuję się coraz lepiej. Równocześnie dołączam swoją fotografię, jak również upraszam list mój umieścić w liście wyleczonych przez preparat „Trayser“. Poczytuję sobie za obowiązek rekomendować preparat „Trayser“ między cierpiącymi. Dziękuję WPanu za łaskawą pomoc.

Z poważaniem **P. Szymanowski.**



Lublin, 26-go Lutego 1911 r.

Szanowny Panie!

Przepraszam najmocniej, że tak długo nie dałem żadnej odpowiedzi, gdyż czekałem rezultatu mojego leczenia się i dzięki Pańskiemu wynalazkowi „Trayser“ jest mi znacznie lepiej. Wdzięczność moja dla WPana jest wielką i gdziekolwiek mogę staram się gorąco polecać środek ten.

Z poważaniem **Bronisław Żarnicki.**



Tarnopol, 16-go Lutego 1911 r.

- Szanowny Panie!

Po użyciu Pańskiego leczniczego środka „Trayser“ czuję się o wiele lepiej i już mogę sama chodzić. Ten pan z ulicy Kraszewskiego napisał na moje polecenie. Posyłam WPanu fotografię oraz składam serdeczne dzięki za Jego skuteczny „Trayser“.

Z szacunkiem **Katarzyna Prochacka.**



Łódź, 5-go Lutego 1911 r.

Szanowny Panie Trayser!

Niniejszem zaświadczam skuteczność Pańskiego preparatu „Trayser“. Po użyciu jednego pudełka pastylek przeciw reumatyzmowi i podagrze „Trayser“ czuję się zupełnie dobrze za co WPanu składam najserdeczniejsze podziękowanie. Pański preparat rekomenduję znajomym. Przy niniejszem dołączam swoją fotografię i pozwalam WPanu list mój zamieścić w liście wyleczonych.

Z poważaniem **Stefan Szmidt.**



Ciechanów, 11-go Marca 1911 r.

Szanowny Panie Trayser!

Z przyjemnością przesyłam WPanu fotografię swoją i jestem obowiązany potwierdzić, że środek „Trayser“ jest najskuteczniejszy i najlepszy dotychczas wynaleziony do leczenia reumatyzmu i podagry, gdyż po użyciu tylko małej ilości tego cudownego środka czuję się zupełnie zdrów i polecam takowy wszystkim znajomym.

Z poważaniem **Franciszek Tetrzyński.**



Łódź, 6-go Marca 1911 r.

Szanowny Panie!

Dziękuję stokrotnie za tak skuteczny środek przeciw reumatyzmowi i podagrze „Trayser“, gdyż po użyciu takowego zostałem zupełnie wyleczony. Staram się o ile możności polecać ów środek moim znajomym, ażeby dowiedzieli się o cudownym wynalazku WPana.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku i poważania

Władysław Zdziennicki.



Radom, 10-go Marca 1911 r.

Szanowny Panie Trayser!

Przepraszam, że tak długo nie odpisywałem, gdyż byłem w podróży. Spieszę donieść, że gdzie mogę polecam lekarstwo WPana, które bez wszelkiej blagi daje wprost świetne rezultaty, o czem niejednokrotnie przekonałem się, i tak mój znajomy kupiec z Radomia p. J. Wadrewski zachorował na reumatyzm, leżał w łóżku 3 miesiące, leczył się różnemi środkami, kosztowało go to grube pieniądze, lecz bez rezultatu, dałem mu pastylki „Trayser“ pomogły o tyle, że wstał z łóżka i o kiju zaczął chodzic, dałem adres WPana i sprowadził preparat Pański i dziś jest prawie całkiem zdrów, to samo jest z moją żoną czuje się zupełnie dobrze. Pyta WPan czy może treść listu mego ogłosić, ależ proszę bardzo, wszak to co napisałem jest szczerą prawdą, niema w tem przesady ani też blagi, jestem wielce wdzięczny WPanu gdyż pozbawił żonę moją choroby, tak przykrej i kosztownej w leczeniu. Stosownie do życzenia posyłam fotografie żony. Proszę wierzyć, że gdzie będę mógł będę polecał środek WPana.

Z poważaniem **J. Wagner.**

Na żądanie wysyłam niezwłocznie dokładne adresa wyżej wzmiankowanych osób.

DOPRAWDY, po przeczytaniu powyższego, nawet najuporczywszy sceptyk przyznać musi, że odkrycie tego środka jest darem dla cierpiącej ludności. Ja mogę zapełnić książki w kilkunastu tomach, i wtedy wątpię czy mógłbym umieścić wszystkie otrzymane listy dziękczynne. Młody i stary, bogaty i biedny słowem we wszystkich stanach i warstwach społecznych z wszystkich części świata otrzymuję zawiadomienia o zupełnem wyleczeniu dzięki tylko temu środkowi. Wielu z nich już od kilku lat przykuci byli do łoża, inni zaś z powodu strasznych cierpień reumatycznych tylko za pomocą laski poruszać się mogli, a ani jeden z podobnych wypadków nie okazał się beznadziejnym dla środka od reumatyzmu i podagry „Trayser“.

Żądajcie dlatego niezwłocznie środek ten przeciw reumatyzmowi i podagrze „Trayser“ w każdej aptece lub składzie apt.

Środek ten zestawiony jest w formie pastylki, każda pastylka jest jedną dozą. Wystrzegajcie się podrabiań i żądajcie tylko prawdziwy „Trayser“. Aby przekonać WP. że jestem w zupełności pewien w skuteczną siłę mojego leczniczego środka i, że takowy musi bezwarunkowo WP. pomódz, to jeżeli WP. nie żąda niezwłocznie udać się do apteki aby kupić środek ten, nie próbując go wcześniej, gotów jestem wysłać WP. zupełnie bezpłatnie próbny pakiecik tego środka pod warunkiem, że WP. wypełni dokładnie niżej drukowany kupon i przyśle takowy pod moim adresem. Gdy WP. środek ten już spróbuje, może potem żądać takowy w każdej aptece lub składzie aptecznym. Adres mój:

M. E. TRAYSER, Nr. 162 Bangor House, Shoe Lane, LONDON, England.

...GA. — Jeśli WP. żądać będzie więcej tego środka, może dostać takowy na miejscu w aptece lub składzie aptecznym.

KUPON.

Upraszam o przesłanie próbnego pakiecika środka leczniczego przeciw reumatyzmowi i podagrze „Trayser“ jak również bezpłatną broszurę w języku polskim z opisem o reumatyzmie i podagrze, ich przyczyny, rozmaite postacie i leczenie.

Imię i nazwisko ....

Adres ....

....

Cierpię ....

(Upraszam napisać tutaj czy na reumatyzm lub podagrę WP. cierpi).

Właściciel, wydawca i redaktor odpowiedzialny: Stanisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskieg